6 STRON — *W numerze: ADOLF FIERLA: SERCA W SZKOLE* — CENA: 6 PENSÓW

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE SIXPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 7 czerwca 1947 r*** — **Rok IX. Nr. 22**

CZY WYNARODOWIENIE?

Zjawisko emigracji jest starsze niż historia. Plemiona koczownicze były pierwszymi emigrantami, którzy opuszczali swe siedziby w poszukiwaniu nowych terenów do polowania czy do handlu. Była to najwcześniejsza emigracja — zarobkowa.

Prześladowania religijne i polityczne w czasach nowożytnych spowodowały powstanie innego typu emigracji — tej, którą raczej u c h o d ź s t w e m należy nazwać niż w y c h o d ź s t w e m — emigracji politycznej: ludzi, co szukali za granicą nie chleba, lecz wolności i bezpieczeństwa osobistego, bo go nie było w ojczyźnie.

Polska stosunkowo niedawno, bo dopiero po rozbiorach, zaczęła z siebie wydawać emigrację obu rodzajów — wpierw polityczną, później zarobkową. O wychodźstwie zarobkowym decydował wysoki przyrost naturalny ludności, której nasz rolniczy, nieuprzemysłowiony kraj nie potrafił zatrudnić. Przyczyną uchodźstwa politycznego był zawsze — obcy najeźdźca.

To jest ważna cecha charakterystyczna naszych emigracji politycznych i taka, z której możemy być dumni. Podczas gdy w Wielkiej Rewolucji Francuzi mordowali Francuzów i Francuzi uciekali przed Francuzami, jak później Rosjanie przed Rosjanami, podczas gdy Anglicy, prześladowani przez Anglików, opuszczali swój kraj w XVII wieku, szukając aż za Oceanem schronienia przed własnymi ziomkami, podczas gdy Inkwizycja tępiła własnych obywateli w państwach zachodniej Europy, powodując prawdziwe wędrówki ludów na małą skalę — my jedni nie byliśmy nigdy prześladowani przez własny rząd, my jedni nie musieliśmy nigdy uchodzić przed Polakami.

Stąd też charakter każdej naszej emigracji politycznej był inny, bo nie dożywotni, nie na pokolenia, nie beznadziejny. Podczas gdy uchodźstwa wszystkich innych państw osiedlały się na nowych terenach, aby w nie wrosnąć — dla nas obcy teren był tylko tym historycznym tramwajem, z którego wysiada się na przystanku: niepodległość.

Prawda, nie każdy dożył chwili, dla której żył, ale do końca wierzył w nią i do niej dążył. Wiedział, że jeśli nie jego pokolenie, to następne odzyska ojczyznę wolną, z której nie trzeba uchodzić — ojczyznę polską.

Dlatego dla polskiej emigracji politycznej groźba wynarodowienia istniała w mniejszym stopniu, niż dla emigracji zarobkowej. Bo sens i cel życia i działania polskich uchodźców politycznych leżał w powrocie do macierzy — jeśli niemożliwym dla nich samych, to dla ich dzieci, wnuków, którym przekazywali ideę wspólnoty narodowej, kapitał uczuciowy związków plemiennych, zwielokrotniony tęsknotą i osamotnieniem: „...Ile cię trzeba cenić — ten tylko się dowie, kto cię stracił..."

* * *

Jak więc przedstawia się to zagadnienie w odniesieniu do nas samych dzisiaj? Czy jesteśmy zabezpieczeni przed wynarodowieniem, czy jesteśmy impregnowani samo-uświadomieniem narodowym, ideą pracy dla narodu, pragnieniem powrotu i połączenia się z macierzą?

Bezwarunkowe „tak" w zastosowaniu do całości naszej emigracji powojennej byłoby świadomym a niepotrzebnym mijaniem się z prawdą.

Wiemy bowiem dobrze, a przynajmniej wiedzą ci, co nie stracili łączności z t.zw. „terenem" — z obozami i stacjami PKPR, które zawierają ogromną większość liczbową polskiego społeczeństwa w W. Brytanii, że nie wszyscy pojmują swoje pozostanie na obczyźnie jako dalszy ciąg walki o Polskę wolną, do której powrót jest logicznym zakończeniem czasowego pobytu za granicami własnego kraju.

Kto bez patriotycznej pozy, bez urzędowego zakłamania rozmawia szczerze i nieprzymuszenie z niedawnymi towarzyszami broni, z ludźmi, których nie posada i zarobek, ale — życie było zagrożone ochotniczo i ochotnie przez całe lata wojny, ten nierzadko usłyszy zdania nieoczekiwane, jak gdyby nie pasujące do osoby wypowiadającego je żołnierza-Polaka:

... „Teraz chcę jak najszybciej zmieszać się ze środowiskiem angielskim, przestać zwracać uwagę jako *foreigner*"...

... „Nie mam zamiaru manifestować wobec Anglików mojej odrębności narodowej: nie mógłbym wtedy liczyć na pracę na warunkach równych z Brytyjczykami"...

A ten, który założył już rodzinę, gotów powiedzieć:

... „Nie czas mi teraz myśleć o polityce, kiedy muszę myśleć o żonie i dziecku. Nie stać mnie na walkę o ideały, kiedy walczę o zabezpieczenie bytu najbliższej rodzinie. — To mój pierwszy obowiązek"...

* * *

Co to znaczy? Czy oznacza to zdradę sprawy narodowej?

Nie. To znaczy tylko, że staramy się rozdzielić i poszufladkować zjawiska, które się rozdzielić i poszufladkować nie dadzą. Stąd przejaskrawienia, które mogą wywołać niepotrzebną panikę.

Wyobraźmy sobie takie same przejaskrawienie w przeciwnym kierunku: czy uwierzylibyśmy komuś spośród nas, kto by najszczerzej w świecie zapewniał:

— „Jestem całkowicie poświęcony walce o wolną Polskę; nie potrzebuję żadnych dochodów — nie mieszkam, nie odżywiam się i nie ubieram — żyję wyłącznie działaniem dla dobra polskiej sprawy, poza nią nie mam potrzeb osobistych".

Oto jest zdanie biegunowo różne od poprzednich. Oto są dwie, biegunowo różne postawy, z których — w życiu praktycznym — żadna nie istnieje. Istnieje tylko gama postaw, szereg przejść od jednego do drugiego zjawiska, szereg mieszanin, w których można będzie często wyróżnić z grubsza proporcję składników, ale nigdy nie znajdzie się przypadków skrajnych, a rzadko kiedy — zbliżone do skrajnych.

Z grubsza też można by powiedzieć, że emigracją prawdziwie polityczną jest ta zbliżona do bieguna „walki o sprawę polską", podczas gdy ta bliższa „walce o byt" jest emigracją raczej zarobkową.

Ale — zastrzeżmy od razu — w pojęciu emigracji zarobkowej nie ma nic przynoszącego ujmę, nic małowartościowego moralnie: cała Polonia amerykańska powstała z emigracji zarobkowej, a któż wątpi o związkach krwi między narodem polskim a tymi ludźmi, którzy czasem już w trzecim pokoleniu oderwani od macierzy, przejęci i zasymilowani przez nowe środowisko, często zapomniawszy starego języka rodziców i dziadków, potrafią — nie słowem, nie sentymentem wspomnień, lecz czynem, trwałym działaniem — wykazać wciąż procentujący kapitał przywiązania plemiennego!

W roku 1941, przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny, byli w polskim lotnictwie w W. Brytanii ochotnicy-obywatele amerykańscy, pochodzenia polskiego, ale często ledwie widocznego w zniekształconym nazwisku; wielu z nich nie umiało słowa po polsku. Polscy instruktorzy pilotażu instruowali ich po angielsku, lecz oni latali po polsku, bo po polsku czuli, bo mieli polską krew, której tajemniczy, nieuświadomiony impuls pchnął ich za Ocean, daleko od nowej ojczyzny, do dywizjonów polskiego lotnictwa.

* * *

Nie trwóżmy się więc, że nasze stutysięczne szeregi nie są dziś wyrównane, że oddziały nasze nie są jednolite, składając się tylko w części z emigracji politycznej — wojującej, a w części z emigracji zarobkowej. Nie każdy żołnierz jest artylerzystą, nie każdego emigranta zadaniem jest bombardowanie pozycji nieprzyjacielskich.

Ci, co od działalności politycznej odrzekają się, to nie — zdrajcy polskiej sprawy, lecz — zaplecze bojowników, fundament liczbowy polskiego żywiołu, podtrzymujący wagę niezależnej opinii polskiej.

Nie bierzmy na serio ich dążności asymilacyjnych. Polak, starający się przerobić na Anglika — to jak utleniona brunetka: tylko patrzeć, jak pod sztucznie złotymi lokami zaczną wyrastać świeże pasma naturalnej, przyrodzonej barwy. Tak polski żywioł, polska krew, polskie dziedzictwo kulturalne oprze się wszelkim próbom stłumienia i zaklepania polskości, czy to próbom dobrowolnym nas samych poza Krajem, czy to próbom najeźdźcy w Kraju.

Stąd nasza nadzieja tu i nasza nadzieja — tam.

GUSTAW SULIMA

WARSZAWA

„A jeśli Cię zapomnę, Jeruzalem moja . . ." Izajasz

Co noc stajesz nad moim
posłaniem
i pot zimny oblewa mi czoło,
gdy w śnie zmagasz się ze mną
zmaganiem
Jakóba z aniołem.

Dymy Twoje rosną, jak drabina,
aż do nieba z gruzów, krwi i błota,
a jęk bucha po pobitych synach
i zmarłych tęsknotach.

O, tragiczna i umiłowana,
w ogniu śmierci dławiona powoli!
Czemu zjawiasz się w przeklętych
ścianach
domostwa niewoli?

Czemu dałaś, by nas obce wichry,
niby liście zeschłe, gnały w dale,
miast rozsypać nas u krwawej
Wisły —
sznur martwych korali?...

Co noc przestrach każe ze snu
wstawać,
słuchać deszczu i wiatru łomotów...
Serce wali. I myślę: „Warszawa"—
a szepcę: „Tęsknota".

Sandbostel, 12.XI.44.

HELENA ORCHOŃ-ZELWEROWICZ

O EMIGRACJĘ PLANOWĄ

Stwierdziliśmy poprzednio,*) że w sprawie osiedlenia istnieje kryzys zaufania. Samolubny stosunek do tego zasadniczego, wielkiego i trudnego zagadnienia, ujmowanie go tylko pod kątem interesu osobistego, a nie interesu zbiorowego — sprawia, że liczba zgłoszeń wyjazdu na własną rękę jest spora i budzi niepokój.

Żołnierzy oczekujących na wizy jest z górą 15 tysięcy. Pragną oni wyjechać — do 30 krajów świata. Jest to faktyczne rozpraszanie się Polaków, nie zawsze zgodne z ich interesem własnym, a napewno szkodliwe dla dobra ogólnego. Na szczęście instynkt samozachowawczy wyjeżdżających kieruje ich w większości wypadków do krajów korzystnych pod względem osiedlenia, gdzie stara emigracja zarobkowa przetarła już szlaki.

Do krajów Europy największe liczby zgłaszających dotyczą:

Holandii ..	7.000
Francji	650
Belgii	120
Włoch	1.300

Z krajów zamorskich najpopularniejsze są kraje:

Argentyna z 4.500 kandydatami, U.S.A. i Kanada.

Na osiedlenie się stałe do krajów zamorskich do marca 1947 r. zdążyło wyjechać 3.300 żołnierzy polskich. W żadnym jednak kraju Europy z tego nie osiedliło się więcej ponad 40 osób.

Natomiast z krajów zamorskich na pierwszym miejscu pod względem liczby wyjeżdżających jest Kanada, dokąd wyjechało 2.900 ludzi i Brazylia, dokąd udało się 160 ludzi.

Reszta, w liczbie około 400 ludzi, rozproszyła się w pozostałych 38 krajach świata.

Naszym zdaniem emigracja do krajów zamorskich winna obejmować jedynie wysokiej klasy specjalistów, którzy na terenie Wysp Brytyjskich nie mogą liczyć na pracę odpowiadającą ich uzdolnieniom i posiadanemu doświadczeniu. Ci właśnie ludzie powinni być pionierami emigracji dla szerokich mas.

Przeciętny fachowiec winien szukać zatrudnienia na miejscu, lub krajach Europy zachodniej. Za takim rozwiązaniem przemawiają następujące motywy.

Przez lata wojny i korzystnej koniunktury politycznej wytworzone zostały w W. Brytanii polskie placówki kulturalne, zorganizowano tu na nowo lub odtworzono w miniaturze życie społeczne, utrzymują się w tym kraju pisma polskie i wydawnictwa książkowe. Biorąc pod uwagę swobody demokratyczne tego kraju i pewną zasobność materialną środowiska polskiego — można wnioskować, że istnieje tu nadal możliwość pielęgnowania własnej kultury, nawet w pogarszających się warunkach materialnych i politycznych.

Stwierdzić również można bez większych błędów, że podstawy prawne bytu i pracy w W. Brytanii wydają się bardziej korzystne, aniżeli w każdym innym kraju na świecie.

Należy sobie również uświadomić, że ustawa *Polish Resettlement Bill* daje szersze możliwości zatrudnienia Polaków o pełnym przekroju społecznym, a nawet stwarza pewne szanse zakładania własnych warsztatów pracy.

Polskie instytucje społeczne mogą uzyskać prędzej w tym kraju aniżeli gdzie indziej możliwości opieki nad Polakami, którzy znajdują pracę. Przy dalszych wysiłkach Polacy mogą liczyć, że ich głos znajdzie zrozumienie w brytyjskich związkach zawodowych.

Poza tym kierowanie elementu polskiego w sposób planowy do krajów, w których przebywa emigracja zarobkowa od szeregu pokoleń — jest w chwili obecnej najkorzystniejsze, bo zagęszcza tam liczbę Polaków i odświeża ich dynamizm. Dlatego osiedlenie w Belgii, Holandii i Francji uważać należy za godne poparcia. Na rzecz tego rozwiązania przemawia fakt, że tam polska emigracja zarobkowa przedwojenna i wojenna wytworzyły pewien nurt społeczny czy kulturalny.

Ponadto kraje te stosunkowo najmniej narażają element polski na wynarodowienie, utratę świadomości politycznej i zejście jedynie do roli emigranta zarobkowego, jako że leżą bliżej Polski, dokąd zawsze będzie łatwiej wrócić przy sprzyjających okolicznościach.

Emigracja zamorska może być przyjęta, jako rozwiązanie korzystne w tym wypadku, jeśli kraje imigracyjne dadzą możliwości osiedlenia polskiego w pełni przekroju społecznego, zagwarantują wkład finansowy rządów tych krajów jako ekwiwalent polskiego osiedlenia i jeśli będzie określony status prawny osadników, tak w zakresie ich rozwoju kulturalnego, jak również zabezpieczenia od ingerencji czynników wrogich, zwłaszcza sowieckich.

Do czasu zyskania warunków, o których mowa, należy wyraźnie poprzeć emigrację do U.S.A., gdzie przebywa 5 milionów Polaków, a dopuścić do Argentyny i Kanady, nie popierając jej natomiast do pozostałych krajów zamorskich, przeciwdziałając dalszemu procesowi rozpraszania masy ludzkiej.

Jeśli będą miały miejsce indywidualne, czy grupowe wyjazdy do innych krajów jak np. do Brazylii, polskie organizacje społeczne obowiązane są mimo wszystko podjąć pełny wysiłek dla zapewnienia emigrantom odpowiedniej opieki poprzez miejscowe organizacje polskie, oraz powiązanie przybyszów z ośrodkami polskiej emigracji zarobkowej na tym terenie.

Leży to bowiem nie tylko w interesie jednostek wyjeżdżających, które tą drogą uzyskają lepsze warunki startu życiowego, ale również uaktywnia i odświeża przedwojenne polskie ośrodki w tym kraju elementem bardziej świadomym politycznie, oraz wyposażonym zawodowo w większe możliwości, aniżeli je miało dawne uchodźstwo zarobkowe.

Na zakończenie wspomnieć należy o potrzebie planowego zorganizowania imigracji do wszystkich krajów. Zarówno w krajach obecnego zamieszkania emigranta, jak również w państwach przyjmujących imigranta, winny powstawać własne polskie instytucje emigracyjne, oparte na prawach miejscowych, a znajdujące się pod opieką polskich organizacji społecznych. Wtedy mniej będzie marnowania sił polskich, choćby nawet wyjeżdżali emigranci „na dziko", wbrew zalecaniom i wskazówkom instytucji do tego uprawnionych.

Powstała w Londynie Rada do Spraw Osiedlenia, jako przedstawicielstwo ogółu zorganizowanych Polaków, zainteresowanych emigracją, na pewno da wyraz zewnętrzny swej trosce o planowe rozwiązywanie problemu osiedleńczego i rozwiąże kapitalne zadania, na które czeka polskie uchodźstwo tak w Niemczech jak i na Wyspach Brytyjskich. Jako pierwszoplanowe zagadnienie dla Rady do rozwiązania, bez których sprawa planowej emigracji nie ruszy z miejsca, wysuwamy następujące:

1) odbudowa zaufania szerokich mas do zaleceń w sprawach osiedlenia i do zdolności polskich czynników społecznych, aby kierować akcją osadniczą;
2) wytypowanie krajów najkorzystniejszych do osiedlenia, jeśli nie jednolitego, to przynajmniej zagęszczającego ludność polską, od dawna zamieszkałą w tych krajach;
3) złączenie w jedną planową całość wszystkich instytucji polskich, zajmujących się akcją emigracyjną;
4) nawiązanie stosunków z krajami potrzebującymi imigracji, oraz z instytucjami międzynarodowymi IRO i UNO, których zadaniem jest niesienie opieki uchodźstwu i udzielanie pomocy materialnej dla trwałego ich osiedlenia;
5) przeprowadzenie osiedlenia ludności cywilnej polskiej z Niemiec i Austrii, która znajduje się w najtrudniejszych warunkach materialnych z pośród całego uchodźstwa wojennego.

Jeśli Rada Osiedleńcza postawi na porządku dziennym te sprawy, to napewno jej głos w opinii polskiej zyska duże zrozumienie, jako naturalnego i faktycznego parlamentu emigracyjnego do spraw osiedlenia.

ST. GIERAT

*) Por. artykuł „Zagadnienie emigracji", druk. w poprzednim (21) nr. „Polski Walczącej".

Przegląd tygodniowy

Podział świata coraz wyraźniejszy

NIEUBŁAGANY BIEG WYDARZEŃ

Z naprawdę rzadką zgodnością wydarzenia ostatniego tygodnia składają się na wspólny obraz; ani jedno nie wnosi do ogólnego rozwoju sytuacji międzynarodowej nuty rozdźwięku.

Czy to będzie nowy plan Trumana obrony półkuli zachodniej, czy przedstawiona przez dowódcę amerykańskiego lotnictwa wizja konfliktu, rozgrywającego się w rejonie podbiegunowym jako granicy pomiędzy St. Zjednoczonymi, a masą euroazjatycką, czy powstanie we Włoszech rządu bez komunistów, czy konsolidacja wpływów sowieckich na Węgrzech w wyniku cynicznego manewru w stosunku do premiera Nagy, czy wydarzenia w Finlandii, w Rumunii lub Jugosławii, czy wreszcie zapoczątkowanie nowego okresu w Niemczech przez stworzenie czegoś w rodzaju rządu dla połączonych stref zachodnich — wszystko to w równej mierze świadczy o coraz kompletniejszym rozpadaniu się świata na dwie części.

Zarówno Waszyngton, jak i Moskwa konsolidują swe strefy wpływów. Coraz trudniej też być niezdecydowanym i odmawiać dokonania wyboru pomiędzy Ameryką i Rosją, choć w Europie zachodniej, a zwłaszcza w W. Brytanii, nie brak bynajmniej skłonności do zachowania neutralności w nadciągającym konflikcie.

OBRONA PÓŁKULI ZACHODNIEJ

Jeśli chodzi o St. Zjednoczone, tydzień stał pod znakiem lepszego organizowania półkuli zachodniej. Okres wojen w skali narodowej należy już dziś do przeszłości; kto wie, może nawet nie należy już mówić o wojnie kontynentów, lecz przewidywać — jak to czyni „*New Statesman and Nation*“ — „wojnę półkul“. Nie znaczy to, że będzie to z pewnością wojna prowadzona „przez naciśnięcie guzika“, czyli przez wzajemne ostrzeliwanie się obu półkul za pomocą pocisków rakietowych; powszechnie przewiduje się również bardziej klasyczne metody walki i nie ma mowy o tym, by np. St. Zjednoczone wyrzekły się swych przyczółków mostowych na półkuli wschodniej — w Europie, w Afryce i w Azji. Wprost przeciwnie: czynią wszelkie starania, aby te przyczółki po drugiej stronie Atlantyku i Pacyfiku umocnić i rozszerzyć. Niemniej jednak bazą tej przyszłej strategii jest Półkula Zachodnia.

Stąd wniesiony przez prez. Trumana do Kongresu projekt zorganizowania całej Półkuli Zachodniej w jedną całość obronną przez ujednolicenie broni, zaopatrywanie krajów Ameryki Łacińskiej i Kanady w sprzęt, szkolenie poszczególnych armii według tych samych metod, wykorzystanie baz i td.

Stąd też nacisk położony w planach wojskowych na zorganizowanie obrony granicy strategicznej Półkuli Zachodniej, jaką jest rejon podbiegunowy. Stąd specjalne znaczenie Kanady, której udział w systemie obronnym Półkuli Zachodniej jest sprawą zasadniczej wagi: wszystkie szlaki dla bombowców i pocisków rakietowych prowadzą z syberyjskich i europejskich ośrodków ZSRR do ośrodków USA i na odwrót ponad rejonem podbiegunowym. Nic dziwnego, że prezydent Truman niebawem wybiera się z urzędową wizytą do Kanady, która stała się krajem kluczowym w strategii światowej.

„SPISEK“ NA WĘGRZECH...

Sowiety ze swej strony starają się przyśpieszyć sowietyzację krajów, nad którymi pozwolono im panować. Pod tym względem najbardziej charakterystyczne są wypadki na Węgrzech.

Węgry były nieco spóźnione na drodze sowietyzacji. Wśród krajów całkowicie podporządkowanych Sowietom zachowały one stosunkowo największą niezależność. Wprawdzie komuniści dysponując tajną policją i mając w ręku niektóre inne kluczowe pozycje, posiadali wpływ nieproporcjonalnie większy, niżby to wynikało z uzyskania 18 procent głosów w wyborach, ale niemniej było faktem, że antykomunistyczna partia drobnych rolników — odpowiednik PSL w Polsce — posiadała większość. Premierem Węgier nie był ani agent Kominternu, jak w Jugosławii, Bułgarii czy Albanii, ani też kukła komunistyczna, jak w Polsce czy w Rumunii.

Od szeregu miesięcy komuniści węgierscy pracowali nad zmianą tego stanu rzeczy. Odkryli „spisek przeciw republice“, który posłużył im do żądania coraz to nowych czystek w partii drobnych rolników, aby wykruszyć posiadaną przez nich większość. Gdy partia ta nie chciała wydać swego dzielnego sekretarza generalnego Kovacsa, wkroczyli Rosjanie i najbezczelniej w świecie go zaaresztowali. Amerykanie i Brytyjczycy protestowali, ale protesty nie były poparte żadnymi argumentami, które mogą Kremlowi trafić do przekonania, toteż pozostały bez echa.

Teraz nastąpił nowy etap. Rosjanie twierdzą najspokojniej w świecie, że zeznania aresztowanego „spiskowca“ obciążają premiera i ministra spraw zagranicznych. Premier, który przebywał w Szwajcarii, nie zaryzykował już powrotu. Wolał pozostać w Szwajcarii. Jego następca uległ żądaniu komunistów i obiecał nowe wybory.

Tym razem oczywiście nie będą to już wybory wolne, jak przypadkiem były wybory 1945 roku. Od tego czasu technika fałszowania wyborów została udoskonalona. Węgry nie pozostaną w tyle za Rumunią, czy Bułgarią, a może nawet wyrównają rekord terroru i oszustwa, ustanowiony przez reżym Bieruta i Cyrankiewicza. Wyrównają, bo pobić go trudno...

...I BOMBA W FINLANDII

W innych krajach strefy sowieckiej również przykręcana jest śruba sowietyzacji i pośpiesznie usuwa się wszelkie ślady wpływów zachodnich.

W Rumunii od dłuższego czasu trwają masowe aresztowania i zanosi się na usunięcie z koalicji rządowej grupy liberałów, która już nie jest potrzebna, a sprzeciwia się posunięciom zmierzającym do pełniejszej sowietyzacji kraju.

W Polsce komuniści pod pretekstem walki z drożyzną chcą zniszczyć klasę średnią i chłopów, stworzyć państwowe magazyny i td.

W Jugosławii aresztowany został p. Jovanović, jedyny działacz opozycyjny, który zasiadał w parlamencie Tity i miał odwagę sprzeciwiać się planowi trzyletniemu.

Nawet w Finlandii, która stanowi „wzorowy protektorat“ sowiecki, śruba sowiecka została przyciśnięta. Niedawno Finnowie sądzili, że mogą nieco osłabić kontrolę komunistyczną. Koalicja rządowa rozpadła się i wydawało się, że pro-komunistyczny premier Pekkala zostanie zastąpiony przez polityka bezpartyjnego. Kryzys trwał parę tygodni, aż nagle w poselstwie sowieckim wybuchła bomba. Czy naprawdę wybuchła? Nikt jej nie widział, nikt nie zauważył, jak została rzucona... Jednakże Rosjanie twierdzili, że „wpadła“ do jednego z pokojów, wywołując pożar. Na wszelki wypadek nie pozwolili policji zbadać śladów tego tajemniczego wybuchu... Rosjanie wystosowali coś w rodzaju ultimatum, żądając wykrycia „winowajców“ w ciągu trzech dni. Winowajców wprawdzie nie wykryto, ale agrariarusze i socjaliści pośpieszyli powołać znowu p. Pekkala na premiera, a tylko o to Rosjanom chodziło.

EUROPA ZACHODNIA NIE UNIKNIE WYBORU

Podczas gdy w ten sposób konsoliduje się z jednej strony Półkula Zachodnia, a z drugiej — blok sowiecki, Europa zachodnia pozostaje obiektem walki.

Dwa wydarzenia świadczą, że powoli również Europa zachodnia konsoliduje się w ramach bloku pod przywództwem Ameryki. Jednym z nich jest powstanie rządu włoskiego bez udziału komunistów. W ten sposób po Francji drugi wielki kraj Europy zachodniej usuwa piątą kolumnę od bezpośredniego wpływu na rządy. Eksperyment jest bodaj jeszcze bardziej ryzykowny we Włoszech, niż we Francji. Wynik jego będzie zależał od tego, czy Amerykanie dopomogą Włochom wydźwignąć się z kryzysu.

Drugie wydarzenie wskazujące na konsolidację zachodniej części Europy, to układ anglo-amerykański powołujący do życia centralny organ dla kierowania gospodarką niemiecką w połączonych strefach. Jest to krok na drodze do powstania państwa zachodnio-niemieckiego ze stolicą we Frankfurcie. Ewentualności takiej może zapobiec jedynie osiągnięcie na listopadowej konferencji w Londynie porozumienia co do jedności Niemiec, na co się nie zanosi.

W. Brytania dość opornie wkracza na tę drogę organizowania Europy zachodniej bez oglądania się na Rosję. Wprawdzie p. Bevin odniósł duży sukces na kongresie w Margate, ale trzeba pamiętać, że jego polityka przeszła pewną zmianę w kierunku zalecanym przez jego przeciwników, którzy usiłują odciąć W. Brytanię od Ameryki. Bevin dzisiejszy to już nie ten sam Bevin, który staczał zacięte boje z Wyszyńskim na Radzie Bezpieczeństwa na początku 1946. I nie ma dziś tej solidarności anglo-amerykańskiej, jaką obserwowało się jeszcze niedawno.

Nie wydaje się jednak, by W. Brytania mogła przyjąć rolę neutralną, o której marzą różni „intelektualiści“ z *Labour Party*. Wybór jest nieunikniony, a wobec zależności gospodarczej W. Brytanii od St. Zjednoczonych — właściwie nawet nie ma wyboru.

Londyn, 1 czerwca 1947.

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Przy obecnym nastawieniu polityki państw zachodnich wobec Polski nie można się spodziewać, by zwłaszcza prasa brytyjska rozpisywała się obszerniej o tym, co się w Polsce dzieje. Fakty nie pokrywałyby się z różnymi teoriami... Za to prasa mniejszych państw żywo się interesuje rozwojem sytuacji w Polsce.

Wielki dziennik szwedzki „*Göteborgs Handels Tidning*“ wysłał swego sprawozdawcę na Targi Poznańskie. Oto garść jego spostrzeżeń:

„Patrząc z okien wagonu, w drodze pomiędzy Berlinem a Poznaniem, można było dostrzec, że pola na terenie Polski pięknie się już zieleniły i że zbiory w roku bieżącym mogą być dobre. Natomiast na polu politycznym, w Polsce, jest coraz bardziej „czerwono“, a wnioski z tego są raczej niebezpieczne. Każdy Polak, z wyjątkiem ludzi na oficjalnych stanowiskach, twierdzi, że rezultaty wyborów styczniowych były bez ceremonii sfałszowane i rząd obecny, przy uczciwych wyborach, nie miałby większości...“

„Ślady wpływów rosyjskich w Poznaniu można spostrzec na każdym kroku. Na ulicach miasta pełno żołnierzy sowieckich. Czynniki oficjalne tłumaczą ten fakt, mówiąc, że Poznań jest punktem węzłowym na drodze wojsk sowieckich powracających z Niemiec do Rosji. Tłumaczenia te wydają się dość dziwne, gdyż zazwyczaj zdemobilizowane wojska przejeżdżają tranzytowo przez obce państwo bez broni, a w Poznaniu żołnierze sowieccy chodzą po ulicach miasta z bronią palną w ręku. Mieszkańcy Poznania starają się zupełnie ignorować obecność tych uzbrojonych żołnierzy sowieckich, do których nikt nie czuje zbyt wielkiej sympatii...“

„Gdy się podsumuje wrażenie wyniesione z Targów Poznańskich, ma się głębokie przekonanie, że Polska dźwignie się niebawem ze swoich powojennych trudności. Pomimo to, że Polska obecnie przeżywa swą nową wiosnę roku 1947, *ciężkie i groźne chmury, nie wróżące nic dobrego, zbierają się na jej horyzoncie od Wschodu...“*

A oto wrażenia wysłannika holenderskiego dziennika „*De Maas Bode*“, który opisawszy walkę z Kościołem dochodzi do takich wniosków:

„Szerokie masy ludności polskiej zajęte są walką o byt codzienny i nie zajmują się polityką. Polacy pamiętają, że dwa razy zostali opuszczeni przez swoich aliantów zachodnich, najpierw podczas oswobodzenia, a następnie podczas wyborów. Stracili zaufanie do polityki, walczą teraz jedynie o byt, mówiąc: „przeżyliśmy okupację niemiecką, przeżyjemy i tę. Dłużej klasztora niż przeora.“ Ludność polska liczy teraz jedynie na własnego sprzymierzeńca, na c z a s, ponieważ nic nie jest wieczne w tym życiu“.

LECTOR

Polska pod okupacją

Kiedy nastąpi połączenie PPS z PPR?

POLEMIKA

Komuniści w Polsce są znikomą mniejszością społeczeństwa i tylko dzięki poparciu zewnętrznemu dorwali się do władzy i przy niej się utrzymują. Wiedzą oni o swej niepopularności wśród Polaków, i dlatego starają się działać nie jawnie, ale używając wszelkiego rodzaju osłon oraz przenikając i rozkładając życie polskie od wewnątrz. Jeśli zdajemy sobie sprawę z tej taktyki komunistów, możemy lepiej zrozumieć to, co dzieje się na odcinku PPR—PPS.

W listopadzie ub. roku między PPR a powolną mu „górą“ PPS zawarta została „umowa o jedności działania i współpracy“, która jest wstępnym krokiem do podporządkowania socjalistów komunistom, podobnie jak to już się stało na terenie sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech, gdzie istnieje „Zjednoczona Partia Socjalistyczna“. W Polsce jednak przeciwko takiemu podporządkowaniu wystąpiły „doły“ partyjne oraz szereg wybitnych działaczy socjalistycznych, znanych ogólnie przed wojną. Z tymi „opornymi“ jednostkami załatwiła się „Bezpieka“, aresztując je. Sprawa „dołów“ jednak pozostała i o jej istnieniu dowiadujemy się od czasu do czasu do czasu z różnych dyskusji publicznych.

Ostatnio dyskusja taka wywołana została przemówieniem sekretarza generalnego PPR, Władysława Gomułki, który stwierdził, że między PPR a PPS nie ma dziś właściwie różnic ideologicznych i taktycznych oraz że dalsze odraczania połączenia dwóch partii jest nieuzasadnione.

„W tej chwili stwierdzam tylko gołe fakty — mówił Gomułka; cytujemy według „Głosu Ludu“ nr. 863 — *interesy całej klasy robotniczej są jednakowe i identyczne, a reprezentowane są one przez dwie partie robotnicze — Polską Partię Robotniczą i przez Polską Partię Socjalistyczną...*

„Gdy niejednego członka PPS zapytać dzisiaj, dlaczego należy do PPS a nie do PPR lub odwrotnie, gdyby niejednemu członkowi PPR zadać pytanie, dlaczego należy do PPR, a nie do PPS — to z góry można zaręczyć, że olbrzymia większość zapytanych nie bardzo wiedziałaby, co odpowiedzieć...“

I dalej:

„Sprawa dalszego ideologicznego zbliżenia i ideologicznej zgodności linii politycznej PPR i PPS staje się naczelnym warunkiem dla zacieśnienia współpracy obydwu partii. Jeśli jednolity front jest pierwszym krokiem na drodze jedności organicznej PPR i PPS, to wzajemne przyjacielskie i braterskie dyskusje ideologiczne, prowadzone na wszystkich szczeblach organizacyjnych obydwu partii winny być drugim krokiem na tej drodze.

„Polska Partia Robotnicza wierzy, że w ten sposób obydwie partie przygotują grunt dla zrobienia trzeciego kroku, to jest dla organicznego zlania się w jedną partię klasy robotniczej. Byłby to największy sukces na drodze dalszego rozwoju i budownictwa Polski Ludowej...“

Tak obcesowe postawienie sprawy fuzji wywołało nie tylko popłoch w „dołach“ PPS, lecz nawet zaskoczenie wśród przywódców przyjaznych komunistom. Wobec tego w tydzień po przemówieniu Gomułki Centralny Komitet Wykonawczy PPS powziął uchwałę, którą zlekka ostudził zapały komunistyczne:

„Podkreślając z całym naciskiem swą wierność rewolucyjnej idei jedności klasy robotniczej — cytujemy za „Robotnikiem“ nr. 912 — *wzywając wszystkich członków i sympatyków PPS do usilnej i szczerej pracy nad praktycznym zbliżeniem obu partii robotniczych w Polsce, przypominając zasady umowy o jedności działania PPS i PPR — CKW stwierdza jednocześnie, iż na obecnym etapie historycznym czuwać będzie przede wszystkim nad właściwym wykonaniem litery i ducha jednolitego frontu robotniczego przez obydwie strony, dbać o wykorzenienie wszelkich praktyk z tą literą i duchem sprzecznych — i tą jedyną drogą konsekwentnie kroczyć ku istotnej, organicznej, a n i e m e c h a n i c z n e j jedności ruchu robotniczego w Polsce i w świecie...“*

CO SIĘ ODWLECZE — TO NIE UCIECZE

W parę dni potem przewodniczący Rady Naczelnej PPS, Stanisław Szwalbe zabrał głos na łamach tego samego „Robotnika“ (nr. 914) stwierdzając, że połączenie organizacyjne pomiędzy PPS a PPR jest obecnie nieaktualne i że nie należy nawet dyskutować obecnie tego zagadnienia.

„Nie należy w obecnym czasie — stwierdził Szwalbe — *prowadzić takich dyskusji, jako rzeczowo nieaktualnych, a psychologicznie mogących przynieść więcej szkód, niż pożytku dla prawdziwego, długofalowego i szczerego współżycia obu partii robotniczych“.*

Równocześnie jednak „towarzysz“ Szwalbe powiedział, że

„PPS jest oczywiście w zasadzie za jedną partią robotniczą“

— tylko jeszcze nie dzisiaj.

Na zakończenie dyskusji — czasami odnosi się wrażenie, że była ona „robiona“ — organ PPR, „Głos Ludu“ (nr. 873) wycofał się również, pisząc, że właściwie chodzi obecnie tylko o stworzenie „jedności ideologicznej“ a nie „organizacyjnej“:

„Stworzenie tej jedności ideologicznej — pisze „Głos Ludu“ — *oto zadanie dnia dzisiejszego. Zadanie, do którego dzisiaj można i trzeba się zabrać. Nie jedności organizacyjnej, organicznej w sensie ścisłym tego słowa. Ta jedność organiczna będzie aktualna w przyszłości, wtedy kiedy zostanie osiągnięta jedność ideologiczna. Nie powinniśmy dziś dyskutować — ani na szczeblu niższym, ani na szczeblu wyższym, ani w ogóle żadnym szczeblu — sprawy połączenia organizacyjnego PPS i PPR. O tym dzisiaj nie ma i nie może być mowy...“*

Jednym słowem — co się odwlecze, to nie uciecze. Komuniści są mistrzami w różnego rodzaju rozgrywkach politycznych. Na tę metodę walki liczą oni najbardziej dla opanowania PPS.

„KLAN PERSONALNIKÓW“

Równocześnie z tą dyskusją, toczyła się inna, na odmiennej płaszczyźnie. Chodziło w niej po prostu o „posady“, które zbyt zachłannie zabierają członkowie PPR. Dyskretnie mówiła o tym uchwała CKW PPS, cytowana przez nas powyżej, w której czytamy o konieczności

„coraz dalej i głębiej idącego wyrównania dysproporcji i nierówności w zakresie wpływu na bieg spraw państwowych“.

Wyraźniej te sprawy postawił stary działacz PPS, Adam Kuryłowicz, na łamach „Robotnika“ (nr. 911):

„Złe wieści przychodzą do nas z fabryk, hut, kopalń. Niestety ze zbyt licznych zakładów pracy. Z przeróżnych stron kraju, z przeróżnych przedsiębiorstw napływają głosy, których ton dźwięczy podobnie i wyraża jednakową skargę... Mówią, że robotnikom dzieje się krzywda, że tu i tam, w takim i takim zakładzie pracy panuje duszna atmosfera. Że znaleźli się tam ludzie, oderwani od klasy robotniczej, nie rozumiejący jej ducha, którzy prowadzą działalność samowolną i sobiepańską. Zwalniają i przyjmują pracowników, nie oglądając się na nikogo z załogi przedsiębiorstwa, lekceważą i łamią prawo i zdobycze klasy robotniczej. Że oto na nowo powstał klan „personalników“... Oni wynaleźli inny, nowy sposób organizowania przedsiębiorstwa i jego ulepszenia, „przyczyniając się“ swoiście do wykonania planu. Odkryli oto, że na kwalifikacje zawodowe wpływa, nawet decyduje o nich legitymacja partyjna... Uderzeniem w plan jest kierowanie się przy zwalnianiu i przyjmowaniu legitymacją, a nie kwalifikacjami i szczerym, lojalnym stosunkiem do pracy. Umniejszeniem produkcji jest wyciąganie z niej elementu fachowego, dlatego, że nie ma legitymacji, a wprowadzenie na jego miejsce słabszego, ale z legitymacją... Naruszeniem linii obu partii robotniczych jest jakiekolwiek łączenie pracy z legitymacją partyjną.“

W odpowiedzi warszawskie ministerstwo Przemysłu i Handlu, na czele którego stoi Hilary Minc, członek PPR, ogłosiło komunikat, w którym „odrzuca kategorycznie zawarte w artykule obywatela Kuryłowicza insynuacje o rzekomym kierowaniu się przy ustalaniu osób do zwolnienia motywami przynależności partyjnej“ a Roman Zambrowski w „Głosie Ludu“ (nr. 871) wystąpił z gorącą obroną przed „atakiem na organizacje fabryczne PPR“ i przeciwko „osłabianiu jednolitego frontu“.

Dyskusja ta jest znamienna i pozwala na wyrobienie sobie w pełni obrazu stosunków między PPR a PPS. Rywalizacja między tymi dwoma ugrupowaniami toczy się po dwóch torach: ideowo-politycznym oraz zawodowo-konkurencyjnym. Z tego trzeba zdawać sobie sprawę, czytając głosy polemiczne między dzisiejszą PPS a PPR.

TADEUSZ NALER

P.S.—W dyskusji na temat „klanu personalników“ zabrał też głos naczelny redaktor „Robotnika“, Julian Hochfeld, pisząc w artykule wstępnym (nr. 917):

„Zostawmy sprawę kierowników wydziałów personalnych na boku. Nie dlatego, by była to sprawa nieważna, ale dlatego, że jest to tylko jedna ze spraw w naszym międzypartyjnym składzie różnych „nagniotków“, które od czasu do czasu musimy sobie nawzajem wycinać...“

Biedny „towarzysz“ Hochfeld, cóż za przykre ma zajęcie!

Zrzeszenie Przyjaciół Polskiego Żołnierza

Polish Soldiers Aid Association, 56, St. Mark's Place, New York 8, N.Y.

VI.—POMOC W UZYSKIWANIU WIZ DO USA*)

Sprawa otrzymania wiz wjazdowych do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej dla tych Polaków, którzy dla takich czy innych względów nie mogą wrócić do przedwojennych miejsc zamieszkiwania jest w dalszym ciągu bardzo trudna.

Pomimo kilku, swego czasu wniesionych zaleceń obecnego Kongresu Stanów Zjednoczonych, o masowej emigracji do USA, przynajmniej na razie — nie ma mowy. Tak długo jak długo obowiązują postanowienia konferencji w Teheranie czy w Jałcie — los tysięcy naszych rodaków wciąż jest jeszcze pod znakiem zapytania straszliwej i wyczerpującej niepewności.

Mimo to jednak, wiele D.P.'s korzystając z pomocy *National Catholic Welfare Conference* zdołało przyjechać do Ameryki. Istnieją również możliwości, że polscy żołnierze — najbliżsi krewni obywateli amerykańskich z chwilą otrzymania „*affidavits of support*“ będą mogli też do Ameryki przyjechać. W pewnej mierze odnosi się to także, do tych żołnierzy polskich, którzy swego czasu złożyli w konsulatach generalnych USA „*affidavit'y*“. Obecnie sprawa wydawania wiz przez Department of State w Washingtonie jest bardziej usprawniona.

Ale sztywne formy przepisów istnieją, w dalszym ciągu są wymagania i dlatego też dostanie się do USA jest bardzo trudne. Sam fakt posiadania „*affidavit'u*“ i chęci zwiedzenia „jeszcze“ Ameryki — to nie wszystko, to za mało...

Osoby schorowane, inwalidzi, obarczeni liczną rodziną, w starszym wieku, bez jakichkolwiek oszczędności czy też ściśle określonego zawodu — z miejsca narażeni są na olbrzymie trudności. Polonia Amerykańska to ludzie pracy, w wielu wypadkach pracy ciężkiej, wyczerpującej. O jakichkolwiek możliwościach opieki społecznej ze strony Polonii nie ma mowy, zaś miejska czy też też stanowa i federalna — przysługuje jedynie obywatelom.

Dlatego też w listach pisanych do Zrzeszenia Przyjaciół Polskiego Żołnierza należy wyczerpująco napisać o sobie i swoich zamiarach. Wyszczególnić możliwości, posiadane zasoby — każda sprawa traktowana jest poufnie.

W chwili obecnej Zrzeszenie PPŻ występując do State Department w jakiejkolwiek sprawie związanej z wydaniem wizy wjazdowej dla tych polskich żołnierzy, którzy już posiadają „*affidavits of support*“ i są zarejestrowani w konsulatach amerykanskich — musi posiadać następujące dane: *Name of Immigrant, Date and place of birth, Occupation, Present address, Where visa application was made, When visa application was made, Number if such assigned, Who furnished affidavit of support* (imiona, nazwiska i stopień pokrewieństwa jeśli krewny i adres), *Immigrant's relatives in the United States* (imię, nazwisko, stopień pokrewieństwa i adres), podpis.

W związku z tym wszyscy ci polscy żołnierze, którzy kiedykolwiek zwracali się do Zarządu Głównego Zrzeszenia PPŻ z prośbą o pomoc w uzyskaniu wizy WINNI JAK NAJPRĘDZEJ DANE SWOJE UZUPEŁNIĆ. Dotyczy to tych wszystkich, którzy nie otrzymali dotychczas „*affidavits of support*“.

UWAGA — według ustawodawstwa USA osoba wystawiająca „*affidavit of support*“ całkowicie ręczy za sprowadzoną osobę, dlatego też nie jest to jedynie sprawa formalna.

JERZY LASZKOWSKI

*)Por. artykuły tego cyklu w poprzednich numerach „Polski Walczącej“.

NASZ ZNAK
STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW
Rok I 7 CZERWCA 1947 Nr. 8

Przed naszym zjazdem

Wszyscy dobrze wiemy, że nie jest nam lekko żyć na obczyźnie. Natomiast nie wszyscy wiemy, że będzie nam jeszcze trudniej, o ile nie potrafimy pomagać sobie wzajemnie.

Nie wszyscy chcemy wiedzieć o tym, że pozostajemy na emigracji nie dla ochrony własnej skóry i wygód życiowych, lecz dla pracy, która ma służyć Krajowi.

Jakże więc mamy obecnie określać naszą postawę wobec rzeczywistości, w której żyjemy?

Czy mamy z pochylonymi głowami, w głębokim smutku, rozproszyć się i zniknąć z powierzchni ziemi, jako Polacy, i iść tułaczym szlakiem w poszukiwaniu za chlebem?

Czy mamy w imię chęci fizycznego trwania służyć bezkrytycznie cudzym interesom, zatracając własny charakter i dążenia?

Jaka jest hierarchia naszych celów? Czy jest to osobisty dobrobyt za wszelką cenę osiągnięty czy trudne życie wolnego człowieka, nie ustającego w walce o niepodległość swego narodu?

Może rozumne połączenie tych dwu założeń jest najsłuszniejsze.

Już najwyższy czas wydobyć się z marazmu i otwarcie, uczciwie zdać sobie sprawę ze wszystkiego, co jest w nas fałszywe i złe. Musimy wszyscy stanąć do roboty zgodnie z zasadą „jeden za wszystkich — wszyscy za jednego".

Nie mamy prawa poddać się biernie losowi i trwać w bezczynności i nietwórczych rozważaniach. Swoje sprawy bierzmy w swoje ręce! Czyńmy to możliwie prędko i rozważnie.

Tego rodzaju pytania i wątpliwości nasuną się prawdopodobnie licznym delegatom Kół SPK, którzy dnia 17 czerwca br. przybędą na Walny Zjazd Delegatów do Londynu.

Organizacja kombatancka wyrosła z pięknych tradycji walki o niepodległość, skupiła w sobie tych, którzy pragną pomnożyć wartości wypracowane w okresie wojny.

Kombatanci to ci, którzy rozumieją, że w chwili dzisiejszej nie ustała dla nich także walka o poziom życia na obczyźnie.

Wartość organizacji kombatanckiej nie polega na dyskontowaniu bohaterskich walk, lecz opiera się na twórczej pracy i codziennym zbiorowym wysiłku.

Wiele zagadnień będzie poruszonych na Walnym Zjeździe SPK, ale nie wszystkie możemy rozwiązać sami — są one często bardzo skomplikowane i niezależne od nas.

O wielu jednak sprawach możemy decydować. Rozwiązanie ich zależy od naszej dojrzałości społecznej.

Walny Zjazd Delegatów wykaże, czy jesteśmy zdolni do zorganizowanego i planowego działania; określenia wyraźnej postawy ideowej i metod działania na najbliższą przyszłość.

Wierzymy, że Walny Zjazd będzie pełnym wyrazem naszych dążeń i potrzeb.

LEON WALSKI

Różnice

(*Korespondencja własna z Belgii*)

Każdy z nas, członków SPK na terenie Belgii, słucha z podziwem i zazdrością wiadomości o szybkim rozwoju szeregów naszego Stowarzyszenia na terenie W. Brytanii i stref okupacyjnych w Niemczech. Imponują nam cyfry członków, stale wzrastający majątek organizacji, wprowadzanie w życie coraz to nowych pomysłów. Zastanawiamy się, że mimo najlepszych chęci i dużego wysiłku — nasze osiągnięcia są tak małe w porównaniu z tamtymi. Szukamy gorączkowo przyczyn, dopatrujemy się w naszym postępowaniu błędów, analizujemy wielokrotnie metody pracy. Dlaczego u nas ruch kombatancki rozwija się wolniej? W czym tkwi błąd? Jakie różnice...

I w tym momencie, gdy padło słowo różnice, zaczynamy jasno zdawać sobie sprawę, że nie jest tak źle, jakby mogło wydawać się komuś, kto badałby tylko cyfry statystyczne, nie wnikając w istotę sprawy.

Zasadniczą i pierwszą różnicą jest fakt, że Polacy na terenie Belgii muszą żyć w warunkach normalnych. Nie istnieje bowiem tutaj ani PKPR, ani UNRRA, ani inne tego typu organizacje czy instytucje, które troszczą się o jedzenie i dach nad głową dla Polaków, są natomiast fabryki, kopalnie, przedsiębiorstwa handlowe — czekające na siły robocze. W Belgii, zamiast zasiłku, każdy z nas może dostać pracę. Zapotrzebowanie na nas, pewnego rodzaju ubieganie się o nasze względy przez pracodawców — obudziły Polaków z bezwładu. Uświadomiliśmy sobie, że dysponujemy poważnymi wartościami. Weszliśmy w życie na prawach nie DP-isów czy PWX-ów, ale ludzi normalnych.

Drugą różnicę stanowi fakt, że na terenie Belgii istnieje zwarta grupa t.zw. „starej emigracji", rządząca się ustalonymi przez lata zasadami, posiadająca swoją tradycję, organizacje i dostosowane do zainteresowań i potrzeb — metody pracy. Najbardziej istotną cechą postępowania tych ludzi jest głęboka nieufność do „przybyszów", przede wszystkim do inteligencji. Objaw ten, nad wyraz smutny, znajduje jednak uzasadnienie w postępowaniu naszych władz sprzed 1939 r., kiedy to emigrantów, w większości górników, traktowano jako masę, która koniecznie musi być kierowana. Obecna nieufność wynika z obaw ponownego opanowania wszystkich stanowisk w życiu społecznym przez inteligencję.

Dalszą różnicą jest wyraźny podział na dwie zwalczające się grupy: pro- i anty-komunistyczną. Cały szereg ludzi boi się narazić jednej lub drugiej stronie i woli nie angażować się w życiu społecznym. „Nie wiadomo przecież, co może nastąpić" — jest ich zasadą życiową.

Polacy w Belgii żyją przeważnie w „koloniach", we własnych ośrodkach, w atmosferze małych miasteczek. Każdy wie, co robi sąsiad, jak żyje, co myśli, co czuje. Na tle takiego życia powstaje szereg sporów. Najdrobniejsza kłótnia zmienia się w wojnę rodzin i wywiera bardzo szkodliwy wpływ na życie organizacyjne. Ambicje osobiste, walki o prezesurę czy sekretariat zniechęcają cały szereg ludzi do pracy społecznej. Brak dyscypliny organizacyjnej uniemożliwia ciągłość pracy, nie dopuszcza do stworzenia stałych podstaw finansowych.

Przedstawiony stan faktyczny, ujęty w „różnice", nie budzi zachwytów, ani nie nastraja zbyt optymistycznie. Mogłoby się wydawać, że możliwości rozwoju pracy nie istnieją. Jednak tak nie jest. Na podstawie obserwacji terenu stwierdzić należy, że przełamano już częściowo wzajemną nieufność „starych" do „nowych". Na bardzo wielu odcinkach życia organizacyjnego widać już ścisłą współpracę jednych i drugich. Ludzie po ustabilizowaniu się materialnym zaczynają odczuwać potrzebę organizowania się.

Mimo niejasnej sytuacji politycznej coraz więcej ludzi wstępuje w szeregi naszego Stowarzyszenia. Na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy liczba Kół SPK podwoiła się. Do przeszłości należą już spory pomiędzy istniejącymi na tutejszym terenie organizacjami kombatanckimi, czego wyrazem był między innymi ostatnio odbyty w Brukseli walny zjazd Oddziału SPK na Belgię. Wybrany na miejsce dotychczasowego Komitetu Organizacyjnego — stały Zarząd Główny Oddziału przystąpił energicznie do pracy w terenie.

Dużo wysiłku poświęca się stworzeniu samodzielności finansowej SPK w Belgii. Jest to problem bardzo trudny. Sprawa ta spotkała się ze zrozumieniem władz naczelnych w Londynie i mamy nadzieję, że obietnice zostaną w pełni zrealizowane.

Musimy sobie zdać sprawę, że do pracy w Belgii przybędzie w ciągu najbliższego okresu kilkadziesiąt tysięcy Polaków, przeważnie b. wojskowych. Winni oni spotkać tutaj organizację, zapewniającą im pomoc i oparcie. Ten nasz najbliższy cel znalazł pełne zrozumienie w terenie i musi być w pełni wprowadzony w życie.

Bruksela, w maju.

D.

PRZESTAŃCIE

Przestańcie już przeżuwać przeszłości gorzki piołun,
Przestańcie się już chełpić ogromem dawnych mąk;
Przestańcie wyczekiwać — czas wreszcie ruszyć społem,
Czas zagiąć już rękawy, chociaż u słabych rąk!

Nie chciejcie żyć z jałmużny, bo mówiąc o nierobach
Opinia będzie miała na myśli tylko was;
Przestańcie w milionowych nareszcie grzebać grobach,
Ale obudźcie życie wśród pozostałych mas.

Musimy Im wystawić potężny, wielki pomnik
Z kamieni drobnej pracy — każdego na nią stać;
Nad granit bohaterstwa niechaj się wyogromni...
Szlachetniej mało zdobyć, niż dużo darmo brać!

Umiemy w krwawej walce brać twierdze niezdobyte,
W porywie bohaterstwa, co krótki okres trwa,
Lecz męstwo obowiązku napawa nas przesytem,
A trzeba nam na zimę przyszłości rąbać drwa...

Przestańcie więc już szukać wygodnych, krętych ścieżek,
Bo na nich zniknie z oczu tułaczki naszej cel:
Wsławiwszy amaranty czerwoną krwią, żołnierze,
Musimy teraz walczyć o polskiej pracy biel!!!

Schongau (Niemcy)

STANISŁAW ZYBAŁA

„Granat"

NOWY NUMER KOMUNIKATU INF. SPK

Najnowszy numer „Kom. Inf. SPK", nr. 11/32, z dn. 1 czerwca 1947 odróżnia się „Granatem" — odznaką 4. Dyw. Piech., umieszczoną na okładce.

Numer ten przynosi materiał będący wynikiem obrad Rady SPK na zebraniu odbytym w maju br. Są to wnioski, które Rada przedłoży II. Walnemu Zjazdowi Delegatów SPK.

W tymże numerze ukazały się pierwsze korespondencje z terenu Stowarzyszenia, nadesłane przez „korespondentów własnych Wydziału Inf. — Pras. SPK". Instytucja „korespondentów własnych" została niedawno powołana do życia i rozpoczyna swoją działalność. Polega ona na tym, że każde Koło SPK powołuje na swoim terenie stałego korespondenta, który zasila wiadomościami Centralę SPK w Londynie. Niektóre materiały otrzymane tą drogą ukazały się już również w „Naszym Znaku".

Jeżeli wszystkie koła SPK wypełnią należycie obowiązek powołania korespondenta na swoim terenie, co zostało uregulowane specjalnym zarządzeniem, informacja i łączność w Stowarzyszeniu osiągną w szybkim czasie należyty poziom. Jest to na dzwyczaj ważne, szczególnie w obecnym okresie, ze względu na aktualny proces rozpraszania się członków SPK, przechodzących do życia cywilnego.

Dlatego najświeższy numer „Kom. Inf. SPK" w dalszym ciągu kładzie wielki nacisk na usprawnienie tej służby prasowej w terenie, a „Nasz Znak" również przypomina o tym, będąc żywo zainteresowany w nadsyłanych korespondencjach.

Biuro paczek S.P.K.

Wysyła do Kraju względnie do obozów na terenie W. Brytanii paczki wykonane bądź to przez siebie, bądź też przez firmy, których uczciwość i solidność została wypróbowana.

W chwili obecnej Biuro posiada na składzie następujące paczki:

I.A.—paczki z obuwiem: buty juchtowe z cholewami, przerobione. Cena do Kraju £1.14.6, w W. Brytanii £1.10.7. Szczegóły w prospekcie.

I.B.—trzewiki damskie — nowe. Cena z wysyłką do Kraju £1.8.4.

Dział lekarski: cennik w biurze paczek SPK.

Paczki z surowcami farmaceutycznymi:

		Wartość w Kraju
II.DS1 w cenie	£7. 0.0 *w dwóch paczkach*	17.000 *zł*
II.DS7	£5. 0.0	12.000 *zł*
II.DS13	£3.10.0	8.000 *zł*
II.DS19	£2.10.0	5.000 *zł*

Paczki te są przesyłane za pośrednictwem firmy w Warszawie, która zgodziła się wypłacać na życzenie odbiorców wyżej podaną równowartość paczki.

Paczki z papierosami:

IV.A 1.000 sztuk Three Stars	£3. 0.5
IV.B 1.000 sztuk Gold Leaf	£3.10.0

Paczki z materiałem III.A i
Paczki z nasionami III.B.

Szczegóły w prospekcie — prospekt do otrzymania w biurze paczek SPK: 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

Za traktorem—II

W poprzednim numerze „Naszego Znaku", w pierwszej części tego reportażu, była mowa o Polakach pracujących na farmie dobrego gospodarza — Szkota. Gospodarz był zadowolony ze swoich pracowników, a pracownicy z niego. Nie wszędzie jednak stosunki układają się tak pomyślnie...

Na tropie wyzysku

Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do następnej z kolei farmy.

— Teraz jedziemy do farmera, który jest bardzo niezadowolony z żołnierzy — objaśnił John. — Jego farma jest zaraz za tym pagórkiem. Zdaje się, że on młóci zboże.

Ostatnie objaśnienia były niepotrzebne, bo wóz wyskoczył na wzgórek i na pochyłości pola przed nami ukazała się farma, obok której stało kilka stogów zboża. W pobliżu uwijali się ludzie pracujący przy mechanicznej młocarni.

Podjechaliśmy pod same stogi, gdzie John przystanął tak, że nie wysiadając z wozu mogliśmy przyglądać się pracy.

Ruchome taśmy wciągały snopy zboża do młocarni, która młóciła, czyściła i napełniała wózki ziarnem. Następnie inne taśmy zabierały wózki na stojący w pobliżu samochód. Ludzie poustawiani wzdłuż młocarni, musieli się uwijać, by nadążyć za maszyną. Jedni podawali snopy, inni je rozwiązywali i układali na taśmie, podstawiali wózki pod oczyszczone ziarno, odrzucali słomę na bok i układali nową stertę, wiązali wózki i ładowali na wóz. Każdy miał swoją pracę wyznaczoną i musiał się śpieszyć, by innych nie zatrzymywać przez stworzenie „korka".

W pewnej chwili traktor, napędzający młocarnię, zakrztusił się, „pyknął" parę razy dymem i stanął. Zatrzymały się taśmy nośne i cała robota została przerwana. Mechanik zaczął coś dłubać przy silniku, robotnicy zaś zeszli ze swoich stanowisk na papierosa, korzystając z nieoczekiwanej przerwy.

— Może ktoś nie ma papierosa, to proszę? — powiedziałem przez okno samochodu w kierunku grupy żołnierzy. Oglądnęli się z niechęcią, ale zaciekawieni częściowo i znęceni ofertą podeszli z ociąganiem. John wysiadł, by porozmawiać z farmerem, a mnie zostawił samego z nimi.

— Ciężka robota — rzuciłem niby od niechcenia tonem znawcy.

— Nie byłaby ciężka, gdybyśmy nie pracowali na akord — odezwał się jeden.

— Jak to? Pracujecie na akord?

— My nie, ale Szkoci pracują.

— No to co z tego, że Szkoci pracują na akord? — zapytałem, nie rozumiejąc o co chodzi. — Niech pracują, jak im się chce.

— Tak, ale oni pracują razem z nami i my musimy im tempa dotrzymać!

— Widzi pan — dodał inny objaśniająco — farmer chce zrobić interes. Za nas płaci normalnie stawki, natomiast Szkotów najmuje i płaci im od wózka wymłóconego zboża. Nic więc dziwnego, że Szkoci pędzą.

Niemca łatwiej było wykorzystywać

— Ale przecież chyba tak nie można? Przecież to jest niezgodne z ochroną pracy?

— Jaka tam ochrona pracy? — wtrącił któryś drwiąco. — Musimy się sami ochraniać, by nas „pampoń" nie wyzyskiwał. Co jakiś czas któryś z nas nie może nadążyć i muszą zwolnić szybkość motoru, by wyrównać.

— A farmer nic na to nie mówi?

— Mówi, ale my i tak sobie z tego nic nie robimy. Gdyby jeszcze jakoś po ludzku do człowieka przemówił, to co innego. A on nic, jeno „rychtyk" powtarza, że Germany lepiej u niego pracowały. To my się tak zawzięli, że jak on o Germanach, to my wolniej. On się widocznie już zmiarkował, bo teraz nic nie mówi.

— Niech pan powie — wtrącił jakiś starszy żołnierz, — czy to człowieka serce nie boli. Tyle się każdy z nas nateral po świecie, tyle się od Niemców nacierpiał, żeby mu na koniec jeszcze dawali ich za wzór. Dziś nikt nie interesuje się tym, że Niemcy nie pracowali dla zasady, ale dla tych papierosów, które im dawano i dla obiecanego im szybkiego powrotu do kraju. To ich nie obchodzi. Grunt, że pracowali dobrze. Wszystko Niemcom zapomną: Hitlera, S.S., Belsen — a będą pamiętali tych dobrych, pracowitych Niemiaszków.

— To najlepiej świadczy, jak po „businessowsku" podchodzą Brytyjczycy do wszystkich rzeczy — rzekłem. — Był wrogiem, teraz jest nieszkodliwy, więc do interesu od nowa. Zdaje się, że niestety na to nie poradzimy.

— Jak to nie? — przerwał jakiś krewki, młody żołnierz. — Możemy w ogóle nie pracować, jak nam każą brać przykład z Niemców. Niech sobie wezmą Niemców, jak im tacy mili!

Lepiej jednak dobrze pracować

— Głupi jesteś — zburknął go jego starszy kolega. — To nam wcale nie pomoże, a tylko zaszkodzi. Spróbuj nie robić! Zobaczysz, co w gazetach napiszą o „*Poles*".

— Ja to sobie tak myślę — ciągnął dalej, — że najlepiej nie zwracać uwagi na to, co mówią, a robić swoje. Mają o Niemcach mówić, niech gadają o Polakach, że dobrze pracują.

— Tak, to jest jedyne wyjście — poparłem go. — Tym bardziej, że niektórzy z nas chcą w tym kraju pozostać i wziąć się za pracę cywilną.

— Właśnie — podchwycił mój rozmówca. — Jak może który z nas dostać w przyszłości dobrą pracę, jeżeli wyrobimy sobie złą opinię? Czy nie lepiej popracować teraz, by później było łatwiej dostać jakąś pracę? Nawet, gdyby ktoś roboty tej nie lubił i nie był do niej przekonany, to warto popracować choćby dla propagandy. Będzie to propaganda nie tylko dla tych, co tu zostają, ale i dla tych, co jadą do Polski; w ogóle dla Polaków.

— Zdaje mi się, że ma pan rację. Lepiej popracować teraz dla propagandy, żeby później propaganda pracowała dla nas — dokończyłem, widząc zbliżającego się Johna.

— Możemy jechać? — zapytał John.

— Naturalnie. Cześć! — rzuciłem na pożegnanie, gdy wóz ruszał na następną farmę. Widocznie i traktor musiał zostać naprawiony, bo widziałem odjeżdżając, jak żołnierze zajmowali z powrotem swoje miejsca przy młocarni.

Na innych farmach okazało się, że niekiedy farmerzy mieli rację i żalili się słusznie. W czasie objazdu farm udało się wyjaśnić wiele niedomagań i zebrać wiele spostrzeżeń, którymi podzieliliśmy się na końcu z Johnem.

Wracając do obozu wieczorem, zastanowiłem się nad słowami żołnierza z drugiej farmy.

Ciekaw jestem, czy Szkoci nadążyli za naszymi?...

ST. JASIOTA

Walny Zjazd Oddziału SPK w Belgii

W dniu 27 kwietnia br. został ukonstytuowany Zarząd Oddziału SPK w Belgii — na Walnym Zjeździe, który się odbył w Brukseli.

Przemówienia wstępne wygłosili: w imieniu: Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego w Belgii — kol. ppłk. Tadeusz Zdanowicz; Polskiej Likw. Misji Wojskowej — kpt. Zdanowicz; POWN — prezes p. E Pomorski; Komitetu Wykonawczego SPK w Londynie — kol. J. Maśliński;. Oddziału SPK na okup. bryt. w Niemczech — kol. Sas Korczyński; Komitetu Organizacyjnego SPK w Belgii — kol. W. Dehnel.

Na Zjeździe podkreślono potrzebę ścisłej współpracy z kołami kombatanckimi w innych krajach na Zachodzie, oraz położono nacisk na sprawy związane z przewidzianym w niedalekiej przyszłości napływem kolegów z Niemiec do pracy w Belgii. Postanowiono w formie uchwał wejście w bliskie stosunki ze Związkiem Polaków w Belgii i wezwanie wszystkich b. wojskowych polskich na terenie Belgii do wstępowania do SPK. Szereg innych uchwał i dezyderatów złożył się również na owocny wynik prac Zjazdu.

W wyniku wyborów przeprowadzonych w zgodnej i przyjaznej atmosferze w skład Zarządu Oddziału SPK na Belgię weszli koledzy: Michalik — prezes, Dehnel i Górski — wiceprezesi, Szuman — sekretarz, Zwoliński — zastępca sekretarza, Fijołek — skarbnik, Kasprzyk — zastępca skarb., Janiszewski i Fluder — członkowie Zarządu.

Na przewodniczącego Komisji Rewizyjnej wybrano kol. T. Zdanowicza, a Sądu Honorowego — kol. Al. Zdanowicza. Radcą prawnym SPK w Belgii został kol. mec. Krakowski.

Zjazd w Brukseli i ukonstytuowanie się władz Oddziału SPK w Belgii jest dowodem dalszego rozwoju i krzepnięcia szeregów naszego Stowarzyszenia. Idziemy wciąż naprzód!

Ostatnie stadium emigracji?

„Nasz Znak" nieraz już zwracał uwagę na niebezpieczeństwo różnych „chorób emigracyjnych", które — jak w jednym z poprzednich numerów Jan Przedczerski przestrzegał — zaczynają się od „zbawiania ojczyzny", a kończą się...
Oto autentyczny list nadesłany niedawno do SPK. Podajemy go w całości bez żadnych zmian:

„DO WYDZIAŁU WYDAWNICTWA STOWARZYSZENIA POLSKICH KOMBATANTÓW; Z Okazyj Waszego KONKURSU na Pamientniki Emigrantów...

---

mam Wielki zaszczyt zapoznać się z Wami jak ruwniesz i porozumieć się z Wami. O właściwy tekst przyszłej Książki przez nas Ułożonych. co według moich Wykładów jako POLSKI DORADCA PSYCHICZNO OKULISTYCZNY DYPLOMOWANY przez INSTYTUT LIGIJ ŚWIATOWEJ PROFESORA DUMONTA. A by zmienić nagłuwek P.E. A zastąpić naprzykład ja jako Autor wy jako nadawca od W.S.P.K. Tekst ku zadość Uczynieniu Sprawiedliwości. z redagowana Przeszłość, i Doświadczenie z Obecnych Wydarzeń, i Osztrzeżenie naprzyszłość, i zabespieczyć Spokuj na Setki lat,

---

to zobaczycie jaki bęndziecie mieć zakup milijonowy ito w nastempujących Językach, jak AMERYKAŃSKI ANGIELSKI FRANCUSKI POLSKI NIEMIECKI HOLENDERSKI TURECKI JUGOSŁOWIAŃSKI SZWECKI I NORWESKI.

Podstawowe Pąkty Moich WYKŁADÓW bendą tego rodzaju 1) muj Życiorys i stopniowo bezemnie rozpoznanie Tajemnic nadłużycia Luckosci Świata Cywilizowanego. i jako postempowo OSWIATOWY dam dowody jako Wyobrażenie jakie ma znaczenie. 2) BÓG A ŚWIAT, 3) STARY A NOWY DESTAMENT, 4) PISMO ŚWIENTE A HISTORYJA LUCKA, 5) NATURA A IDEJA, 6) CYWILIZACYJA A OŚWIATA. A wcałem słowa znaczeniu moich WYKŁADÓW, to Gieneralna moja RADA tojest PERSWAZYJA i OSZTRZEŻENIE, dla wiecznego Pokoju naprzyszłość, tylko według moich Wykładów A KONKURSEM to ta Premija 60 Fontów Szterlingów niewystarczająca.

SPRZYJACIELSKIEM POZDROWIENIEM i Serdeczny Uścisk Dłoni".

*

Wydział Wydawniczy SPK upoważnił nas do zakomunikowania na tym miejscu Szanownemu Autorowi listu, że niestety nie może skorzystać z tak cennej współpracy, jakoże z powodu ograniczonych funduszów musi jednak poprzestać na ustalonej premiji 60 Fontów Szterlingów.

A ze swojej strony podziękować Kochanemu Autorowi za ten list, ponieważ jest on dla niejednego z obecnej emigracji przestrogą, aby jak najprędzej porzucił rozpoznawanie Tajemnic nadłużycia Luckości Świata Cywilizowanego, a zajął się istotnymi sprawami codziennego życia normalnego człowieka. Taka jest nasza Gieneralna Rada, to jest PERSWAZYJA i OSZTRZEŻENIE.

Dom bez ogniska

Urok obozu przejściowego

W obozie Damfield Lane, nawet w najcięższym, początkowym okresie wszystko szło jak w zegarku. Obóz działał sprawnie jak olbrzymi hotel o 600 łóżkach, przyjmując nieraz dwukrotnie w ciągu tygodnia partie po 200–300 osób, dla których zawsze bez względu na porę dnia i nocy, czekały przygotowane białe, czyste prześcieradła i gorąca herbata. Był to wówczas jeszcze obóz przejściowy i główną troską przyjezdnych było, aby jak najdłużej odwlec moment przeniesienia do innego, stałego obozu.

Komendant obozu — ruchliwy jak rtęć i wszędzie obecny mjr. K., stosunkowo najwięcej miał kłopotu z tymi opornymi, którzy, zasmakowawszy we względnym komforcie, po wyczytaniu swoich nazwisk na wyjazd, oświadczali dramatycznym tonem:

— Ja nie wyjadę, panie majorze!

Pomimo to wyjeżdżali, ustępując miejsca setkom nowych przybyszów, bo w obozie panowało bezwzględne poszanowanie porządku i protekcyjne zabiegi nie odnosiły skutku, na przekór przerośniętym ambicjom niektórych wyższych szarż w spódnicy.

System administracji obozu był wówczas nieskomplikowany i opierał się głównie na personelu wojskowym. Tylko pomocnicze siły do kuchni i jadalni werbowane były spośród mieszkańców. Przedstawicielem władz cywilnych był Delegat ITC, który zajmował się głównie rejestracją nowoprzybyłych i rozdziałem darów odzieżowych.

Przysmażona cebulka a samorząd

Z nadejściem zimy obóz został przeorganizowany na stały, przyjmując formy tego znanego na ogół wszystkim wojennego nowotworu, który nie ma wiele wspólnych cech z normalnym osiedlem ludzkim, jednak zaspakaja najprymitywniejsze potrzeby mieszkaniowe ludzi bezdomnych, żywi ludzi bez środków do życia i stwarza pozory zatrudnienia bezrobotnych. Atmosfera lenistwa, plotki i dosyć beznadziejnego wyczekiwania nie wiadomo na co — towarzyszy nieodłącznie takiemu zupełnie przypadkowo zebranemu skupisku ludzi.

Trzykrotnie w ciągu dnia wszyscy mieszkańcy obozu spotykają się w długim wężu kolejki w oczekiwaniu na wydawany posiłek. Przy stołach, nakrytych białym obrusem, rozważają kuchenne wydarzenia dnia:

— Kasza dziś nie jest stęchła, ale sos do mięsa zbyt rzadki i o dziwo — w zupie pływają kawałki podsmażonej cebuli.

To, żeby cebula do zaprawiania zupy była podsmażana, a nie surowa, było przedmiotem paromiesięcznych starań mieszkańców. Dużo o tym się mówiło i nareszcie przed Wielkanocą — nowy gospodarz kuchni, nowy kucharz, przysmażona cebulka i w ogóle znacznie lepsze, bardziej urozmaicone jedzenie — to sukcesy obozowego samorządu.

Samorząd istnieje od marca — jest wójt, ławnicy, radni, wydział wykonawczy, komisje — wszystko to ma stworzyć pozory normalnego, gromadzkiego życia. Były wybory — teraz są intrygi. Według starych, przedwojennych, kontynentalnych metod — atakuje się pewne osoby po to, aby opróżnić pewne stanowiska. Wieczorem w świetlicy, przy kawie — tylko nieliczni nie zajmują się obmową.

Nie warto pracować

Pięćdziesiąt sześcio-izbowych, smołowanych baraków z falistej blachy, jak wielkie czarne żuki, lśni w blasku łaskawego wiosennego słońca wśród kłaków wyrudziałej trawy. Między nimi wije się połyskliwa pętla asfaltowanej drogi i węższe odgałęzienia asfaltowanych ścieżek. W obozie nie ma błota, w zacisznych baraczkach ustępowo-umywalnianych panuje czystość i zapach środków dezynfekcyjnych. Kto chce uniknąć obowiązku sprzątania tych pomieszczeń, płaci szylinga.

W inspekcjach porządkowych bierze teraz udział przedstawiciel *Assistance Board*, który przejął po ITC funkcje opiekuńcze. Do jego obowiązków należy żywienie mieszkańców, wypłata „*pocket money*" i ściąganie opłat za utrzymanie od osób pracujących. Tylko 43 pracowników administracyjnych obozu z pensją miesięczną od £4 do £13 nie płaci za swoje utrzymanie. Odliczane im są tylko jakieś stosunkowo nieduże potrącenia — nikt nie wie na pewno, na co. Natomiast wszyscy inni pracujący zarobkowo w obozie czy poza obozem muszą płacić za utrzymanie około 25 sh. tygodniowo za siebie i za każdego z członków rodziny, przy czym cała rodzina traci prawo do „*pocket money*". Jak wykazuje proste obliczenie, w tych warunkach praca nie opłaca się głowom liczniejszych rodzin.

Nauka angielskiego dla Anglików

A właśnie rodziny z dziećmi w przeważającej mierze są lokatorami obozu. Na ogólną cyfrę około 450 mieszkańców cywilnych, blisko 250 stanowią kobiety i 80 dzieci. Dzieciom powodzi się tu dobrze — są otoczone specjalną opieką. W przedszkolu i szkole powszechnej mają dożywianie w formie drugiego śniadania i podwieczorku. Poza tym otrzymują tran, sok i galaretkę pomarańczową. Przy różnych okazjach dostają liczne prezenty w postaci słodyczy, owoców i zabawek. Oczywiście istnieje przymus nauki.

Niestety przymus ten nie jest stosowany do dorosłych, którzy mają niedużo możliwości i chęci do rozszerzenia zasobu wiedzy. Jedyną formą dokształcania zawodowego są kursy kroju i szycia dla pań. Wykłady angielskiego nie są dosyć gorliwie uczęszczane. Tylko w kompanii administracyjnej, gdzie nauka języka jest przymusowa, rezultaty są godne uwagi.

Społeczeństwo angielskie okazuje mieszkańcom obozu dużo życzliwości. Burmistrz miasteczka Naghull — p. Moreton — zorganizował wieczorki konwersacyjne, ściągając do obozu licznych Brytyjczyków. Niestety, podobno czasami bywało ich więcej niż Polaków, którzy wolą w inny sposób spędzać czas.

„Spędzanie czasu" — jest głównym zajęciem we wszystkich przymusowych obozach świata. Ale pobyt w obozach cywilnych w Anglii nie jest przymusowy. Właśnie znajomość języka pozwala wyjść z obozu i zająć właściwe miejsce w życiu wolnych ludzi.

Na naukę języka angielskiego powinno się położyć większy nacisk. Że tego dotychczas nie zrobiły władze obozowe — to jest jedyne poważne zaniedbanie w obozie przy Damfield Lane.

ZET CEZET

Listy do Redakcji

O PEWNYM TRANSPORCIE RODZIN

Niedawno przeczytałem w naszej prasie interesujący artykuł na temat transportu rodzin 1. Dywizji Pancernej. Taki miły, pogodny, uspokajający artykuł.

Wkrótce potem sam jechałem transportem wojskowym, zorganizowanym z przysłowiową już „angielską sprawnością". Gdyby nie sztorm, który dał się nam nieźle we znaki, podróż tę można by było traktować, jako miłą wycieczkę.

Listy, które po takiej podróży pisaliśmy do naszych rodzin, były jak najbardziej optymistyczne.

Tymczasem jednak transport, który wyjechał z Niemiec 9 maja br. stał się udręką dla jadących nim żon i dzieci żołnierzy 1 Dyw. Panc. i 1 Sam. Bryg. Spad. — żywym zaprzeczeniem sprawnej organizacji.

Już sam wygląd wagonów podstawionych do załadowania w Bramsche (okup. bryt. Niemiec) wzbudzał jak najdalej idące zastrzeżenia. Brudne, niechlujne wagoniska, które dawno zapomniały, jak wygląda szczotka i ścierka.

Nie wiem, kto powinien odpowiadać za stan taboru, ale wiem, że brytyjska matka nie wsiadłaby z dzieckiem do wagonu, który swym wyglądem budziłby niemiłe skojarzenia z ... chlewem.

Ponieważ transport ruszył wczesnym rankiem, przewidziane było śniadanie w Oldenburgu. Ograniczyło się ono niestety do niewielkiej ilości herbaty, która dotarła jedynie do żołnierzy towarzyszących i ich rodzin — i to nie wszystkich. Większość matek z małymi dziećmi, jeśli potrafiły same zakrzątnąć się, otrzymała t.zw. „wrzątek" — letnią wodę, nadającą się najwyżej do ... mycia zębów.

W Cuxhaven sytuacja polepszyła się — podano smaczny obiad, szkoda tylko, że nie poprzedzony myciem się po podróży. Nocleg przygotowano w wygodnym „*Transit Campie*" Brytyjskich Rodzin Wojskowych (Hotel „Atlanta").

Po całodziennym pobycie w hotelu — wyjazd samochodami do portu, szybkie sprawdzenie dokumentów i wreszcie załadowanie na statek.

Pogoda dopisała i można by darować nawet wybitnie niedostateczne jedzenie na statku (nie wiadomo dlaczego bez sakramentalnego „*tea*", co rozciągnęło przerwę między obiadem a kolacją do siedmiu godzin), gdyby z jakichś bliżej nieznanych przyczyn podróż nie przedłużyła się o dwa dni, z których jeden spędzono u wejścia do portu, drugi zaś w porcie Leith (Edinburgh).

Ciasnota, łatwa do zniesienia w krótkim czasie, lecz bardzo uciążliwa wobec przedłużania się podróży, krzyki głodnych i wymęczonych dzieci — sprawiły nastrój, przypominający „Okręt Potępieńców".

Dodajmy jeszcze pijanego, obleśnego kelnera, który w sposób obraźliwy zalecał się do matek i polewał zupą dzieci, a otrzymamy obraz daleki od sielanki z niedawnych artykułów.

W porcie długie godziny zbędnego oczekiwania w ścisku, dalsze godziny w natłoczonym do niemożliwości „*sitting roomie*" na statku, wreszcie załadowanie do pociągu po osiem osób do sześcio-osobowych przedziałów i jedenastogodzinna podróż wolno wlokącym się pociągiem dopełniły reszty.

Na małej stacyjce Market Razen, po sześciodniowej makabrycznej podróży, po całonocnej jeździe w natłoczonym pociągu — wysypał się tłum umęczonych, brudnych częstokroć postaci, bez bagażu, który gdzie indziej tymczasem powędrował, bez możności zmiany zbrudzonej podróżą bielizny, by samochodami udać się do obozu (Ludford Magna). Komendant tego obozu uprzedził na wstępie, że mimo wysiłków jego i przydzielonych mu żołnierzy z 1 Sam. Bryg. Spad., obóz ten wiele pozostawia do życzenia.

O innych obozach dla tego transportu rodzin można mniej więcej to samo powiedzieć.

Wracając do organizacji transportu, należy stwierdzić, że tak brytyjskie czynniki organizacyjne nie dopisały w skandaliczny sposób, jak i polska strona zawiniła w znacznym stopniu. Komendantem transportu powinien być energiczny oficer, najlepiej bez własnej rodziny, ponieważ to okazało się zanadto dla niego absorbujące. Powinien on odznaczać się taktem i dużą cierpliwością i koniecznie mieć pod ręką — pejcz, którym mógłby przywracać równowagę i rozsądek pijanym kelnerom, jeśli nie potrafią tego zrobić ich przełożeni.

Zespół towarzyszących żołnierzy powinien tworzyć zdyscyplinowaną drużynę, niezwiązaną — w miarę możności — z żadną z osób transportu i wykonującą ściśle rozkazy komendanta.

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym mówiąc o całości transportu w sposób krytyczny, nie wspomniał o wybitnie gentlemańskiej postawie kapitana Waltera z 10 Sądu Polowego, który swym zachowaniem wzbudził ogólny szacunek i wdzięczność osób jadących tym transportem, a także o wybitnej pomocy Pań z polskiego Komitetu Pomocy Polakom, które w porcie Leith z największą troskliwością niosły ulgę dzieciom i zmordowanym ciężką podróżą matkom.

17.V.47.

R. Białous

Poradnik żołnierski

Hotelarz.

Otrzymanie odpowiedzialnego zajęcia w jakimś większym hotelu wymaga dużej poprzedniej praktyki, która w danym wypadku ma pierwszeństwo przed wykształceniem. Dla informacji podaję, że prawie wszyscy poważniejsi pracownicy hoteli w Londynie czy na prowincji, pracę w hotelach zaczynali od najmłodszych lat. Jeśli Pan ma jakąś praktykę hotelarską, radziłbym, zanim będzie Pan ubiegał się o posadę, ukończyć kursy hotelarskie, prowadzone w różnych miastach. Abym mógł Panu służyć dalszymi informacjami, proszę podać mi w jakich okolicach W. Brytanii chciałby Pan się osiedlić. Wg. posiadanych informacji, tylko bardzo ograniczona ilość miejsc jest obecnie wolna w branży hotelowej na odpowiedzialnych stanowiskach. Duża ilość b. wojskowych, którzy w czasie wojny pracowali w organizacji kantyn przy demobilizacji ma pierwszeństwo w otrzymaniu posad w hotelarstwie.

St. mar. Tadeusz Mus.

Ponieważ jak Pan twierdzi, w r. 1940 służył Pan w Wojsku Polskim we Francji w 2. Dyw., a następnie po upadku Francji był internowany w Szwajcarii podlega Pan demobilizacji francuskiej oraz należy się Panu żołd za okres internowania.

Ponadto przysługują Panu następujące odznaczenia: 1) Croix de Combattant — o ile w r. 1939 przed wybuchem wojny nie zamieszkiwał Pan we Francji i nie podlegał poborowi na terenie francuskim, 2) Medaille des Evadés — za ucieczkę z internowania, 3) Insigne des Blessés — o ile był Pan ranny w czasie działań 2 Dyw. i może Pan to udowodnić. W sprawie przeprowadzenia formalności demobilizacyjnych francuskich radzę niezwłocznie zwrócić się do U.K. Nr 1 drogą służbową.

KOMUNIKATY

BIURA INFORMACJI I PORAD SPK
20, Queen's Gate, Terrrace, London, S.W.7.
Oddział w Edynburgu: 13, Glencairn Crescent, Edinburgh.

PRACA W OGRODNICTWIE

Drogi Kolego,

odpowiadamy w tej formie na zapytania w sprawie pracy w ogrodnictwie na terenie W. Brytanii — ponieważ wiadomości te mogą również się przydać innym Kolegom.

Otóż robotnicy zatrudnieni w ogrodnictwie posiadają w tym kraju takie same uposażenie, jak i robotnicy rolni, t.zn. stawka minimalna £4 za 48-godzinny tydzień pracy, plus te same stawki za godziny nadliczbowe. Podobnie jak i w rolnictwie mogą tu być stosowane warunki pracy akordowej (piece work), przy których zarobki mogą być znacznie wyższe.

Jeżeli chodzi o wykwalifikowanych ogrodników, to warunki płacy nie są ustalone. Wyjątek stanowią posady ogrodników miejskich w poszczególnych miastach. Jako typowe stanowiska w ogrodnictwie są „head-gardener" i „under-gardener" — spotykane zarówno w gospodarstwach ogrodniczych, jak też i w dużych prywatnych posiadłościach.

Wynagrodzenie ich jest zależne od posiadanych kwalifikacji (najważniejsze są osobiste referencje dotyczące ich praktyki), przy czym obok tygodniowej stawki mają albo udział w dochodach, albo też jednorazową gratyfikację roczną, jak np. w wypadku zatrudnienia w parkach prywatnych. Ta ostatnia pozycja może wynosić od £50 wzwyż, nieraz i do £150.

Ponadto „head-gardener" i „under-gardener" otrzymują zwykle mieszkanie — „cottage" i pewne naturalia. W obecnych czasach dobry samodzielny ogrodnik nie przyjmie pracy, o ile nie otrzyma dobrego „cottage'u" z około 3–5 pokojami, kuchnią, łazienką, wodą i elektrycznością. Dobre mieszkanie, położenie i bliskość szkoły — są obecnie bardziej decydującymi momentami, niż wysokość wynagrodzenia.

Znaleźć pracę w ogrodnictwie w charakterze ogrodnika jest łatwo. Otrzymać natomiast zatrudnienie w charakterze „head-gardenera" lub „under-gardenera", względnie inną samodzielną pracę, jest, bez wykazania się referencjami — prawie niemożliwe.

Każdy tygodnik ogrodniczy lub regionalny przynosi dziesiątki ofiarowanych posad, jak również zamieszcza ogłoszenia poszukujących pracy. Brytyjczycy prawie wyłącznie na tej drodze załatwiają te sprawy.

Ogrodnicy prywatni w majątkach mogą niekiedy być traktowani, jako „służba domowa" i w tym charakterze poszukiwać pracy przy pomocy agencyj, jak np. General Bureau for Poles, 15, Craven Street, London, W.C.2.

Tak w streszczeniu przedstawia się sprawa zatrudnienia w ogrodnictwie. Jeżeli Kolega będzie potrzebował indywidualnej porady, prosimy zawsze pamiętać, że Biuro Informacji i Porad SPK służy jak najchętniej poradą i pomocą.

B.I.P.

WOLNE POSADY

— Potrzebny jest BLACHARZ (panel beater) do prac w dziale samochodowym. Płaca sh. 2/9 za godzinę. 44-godzinny tydzień pracy. Adres pracodawcy: Blanchard Bros. Ltd., 94, Havelock Walk, Forest Hill (Levisham).

— Potrzebni: 6 MALARZY-LAKIERNIKÓW do prac w dziale samochodowym. Płaca £6. 10. tygodniowo. Adres pracodawcy: Express Motor Body Works Ltd., Riverside Road, Tooting, Wimbledon.

— Poszukiwani są SPECJALIŚCI DO MONTOWANIA PROTEZ. Płaca tygodniowa: £5. 10. Adres pracodawcy: Kenny Limb and Surgical Co. Ltd., 75, Redlion Street, Holborn, London, W.C.1 (King's Cross).

— Potrzebny TAPICER-INSTRUKTOR dla prowadzenia kursu zawodowego w jednym z obozów PKPR. Warunki płacy: do omówienia. Zgłoszenia kierować: por. Z. Czudec, Adm. HQ Witley Camp, nr. Godalming, Surrey.

— Potrzeba 16 ROBOTNIKÓW BUDOWLANYCH do firmy: Messrs. Wallis & Son, Besver Lane, Ashford (Ashford). Płaca — 1/11 za godzinę, 44 godz. tyg.

— Potrzebny MONTER SILNIKOWY do nawijania silników elektrycznych i obsługi silnika Diesla. Płaca £6. 10. tygodniowo. Bovril Ltd., 148-166, Old Street, London, E.C.1.

— Poszukuje się 2 PRACOWNIKÓW DO OBSŁUGI MASZYN DO SZYCIA wyrobów skórzanych. Płaca £5 do £6 zależnie od kwalifikacji. 5-dniowy tydzień pracy. Adres: Weiner Dlea Ltd., Alperton (Wembley).

— Potrzeba 3ch wykwalifikowanych BLACHARZY. Płaca 2/6½ na godzinę plus 25% bonus (£10.6.0 tyg.) Starr Engineering Co. 3, St. Peter Street, London, N.1.

* * *

OGŁOSZENIA O PRACY W PROGRAMIE B.B.C. (AUDYCJE POLSKIE)

Jak się dowiadujemy BBC włączyło do czwartkowych audycji w języku polskim o godz. 20.30, fala 456—komunikat o możliwościach i warunkach zatrudnienia Polaków w przemyśle, rolnictwie górnictwie i tp.

POSZUKIWANIA

Kpt. Stanisław JAREMSKI, rzekomo z 2 Korpusu, syn Ludwika, jest poszukiwany przez Aleksandra Jarmarek. Wiadomości prosimy kierować do Redakcji „Naszego Znaku".

SPK W KANADZIE DZIĘKUJE OBROŃCY POLAKÓW

Zarząd Oddziału SPK w Kanadzie wystosował do p. Humphrey Mitchella, kanadyjskiego ministra pracy, depeszę następującej treści:

„*Prosimy przyjąć wyrazy wdzięczności za sprostowanie fałszywych, nieuzasadnionych i przynoszących szkodę zarzutów, skierowanych przeciwko polskim kombatantom przyjętym do tego kraju na osiedlenie. Jesteśmy przekonani, że dostatecznie udowodniliśmy, jaka jest nasza postawa wobec jakiegokolwiek totalitarnego systemu rządzenia, aby zasłużyć na zaufanie do naszej lojalności wobec Kanady*".

Kanadyjski minister pracy stanął bowiem w obronie polskich żołnierzy, którzy stali się przedmiotem niesłychanych ataków na terenie parlamentu ze strony konserwatywnego posła p. T. J. Church.

Redaguje: Wydział Prasowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7—tel. WEStern 0747.

Kiedy wlazłeś między wrony . . .

„Ta" okręt i „to" gin

Niech ci się nie zdaje, że mówiąc o płci wyrazów angielskich, zapomniałem o zaimkach, gdyż pogadamy szerzej na ten temat przy jakiejś okoliczności łagodzącej, chwilowo zaś godzi się uporządkować z grubsza sprawę używania odpowiednich zaimków zależnie od rodzaju.

Zatem „on" i „jego", czyli „*he*", „*his*" i „*himself*", mówi się o osobach płci męskiej, co należy uznać za regułę trafną. Także „*he*" jest nie tylko mężczyzna, ale i to stworzenie boże, którego zewnętrzne cechy samcze rzucają się w oczy. Więc „*he*" jest zarówno „*colonel*" (pułkownik) czy „*private*" (szeregowiec), jak n.p. „*he*" może być „*stallion*" (ogier), „*bull*" (byk), „*cock*" (kogut), „*drake*" (kaczor) i t.d. Nie jest to reguła zupełnie stała, gdyż można mówić o tych samcach per „*it*", jak można zaimkiem „*he*" dyskretnie zataić pewne braki, którymi odznacza się n.p. „*gelding*" (wałach) albo nawet „*capon*" (kapłon). N.b. podaję te rzeczowniki na goło, czyli bez rodzajnika oznaczonego lub nieoznaczonego, ponieważ o rodzajnikach będzie jeszcze mowa kiedyś, przy najbliższej lekcji karnej.

„*She*" (*her, herself*) jest każda osoba płci żeńskiej i każda samica, zwracająca na się uwagę i wyglądem zewnętrznym i sposobem zachowania się w pewnych okolicznościach. Czyli „*she*" jest n.p. „*countess*" (hrabina), równie jak „*lioness*" (lwica), podczas gdy „*it*" (*its, itself*) mówimy w innych wypadkach, gdy n.p. idzie o dziecko, po prostu o bachora, bez wyraźnego określenia jego płci, o zwierzę w ogóle czy też o jakikolwiek przedmiot martwy lub — niekiedy — o przedmiot oderwany, czyli o pojęcie abstrakcyjne. O ile my mamy dotąd pewien kłopot z tytułami czy szarżami wojskowymi przy imionach i nazwiskach kobiecych, nie wiedząc, czy powiedzieć „pani kapitan zgubiła lipstyk", „pani podporucznik dostała rozwód", o tyle w języku angielskim ten kłopot nie istnieje. Temu lat czterdzieści wspomniany wielokrotnie G.B.S. mówi o oficerze Armii Zbawienia w sztuce „Major Barbara".

Rzecz zastanawiająca, że o każdym, okręcie, nawet o największym potworze stalowym, mówi się najczęściej „*she*". Tak samo o okręcie podwodnym, bez względu na jego nazwę, jak n.p. w przypadku polskiego „Wilka" lub „Orła". W książce A. D. Divine „*Navies in Exile*" (Floty na wygnaniu) czytamy wiele pochlebnych słów o polskim „Wilku", zawsze jako „*she*" i o jego załodze, zawsze jako „*her*". N.p. „*her crew were on the near of exhaustion*" (jej załoga była bliska wyczerpania). Albo o naszym „Orle": „*her navigator*" (jej nawigator).

Dziwi nas to odrobinę. Kiedyś, gdy będziesz już kapował lepiej po angielsku, może wpadnie ci w rękę słynna, bardzo popularna książeczka dla dzieci p.t. „*Alice's Adventures in Wonderland*" (Przygody Alicji w krainie czarów). Bohaterka często dziwi się, więc n.p. gdy mysz nie odpowiada na jej pytania, padają słowa: „*Perhaps it doesn't understand English?*" (może ona — właściwie „to" — nie rozumie po angielsku?). Adasiu, znalazłeś się także w krainie czarów, z których dla cudzoziemca przez kilka pierwszych lat najdziwniejszy jest język angielski, którym ty, na razie, władasz mniej więcej, jak mysz. Ale staraj się nigdy nie dziwić ani językowi, ani innym czarom tej krainy!

Podobno rodzaj żeński w zastosowaniu do okrętów, równie zresztą jak do samolotów, samochodów, i td., jest wyrazem pewnej miłości, jaką marynarz, lotnik lub kierowca żywią dla swej „maszyny". Zawodowy pesymista, J. B. Priestley, w książce swej p.t. „*English Journey*" („Podróż po Anglii", dosłownie: „Podróż angielska") mówi o „*a passion — perhaps the purest of their passions — for the machines*" (o namiętności — może najczystszej z ich (t.j. ludzkich) namiętności — do maszyn) oraz o tym, że „*ships are creations of power and beauty*" (są tworami siły i piękna).

Możliwie, że w tym rodzaju żeńskim wyładowuje się miłość Anglika do okrętu, nam jednak trudno pogodzić się z tą formą, zwłaszcza że nawet nasz kontrtorpedowiec „Krakowiak" dla Anglika jest (a raczej był) „*she*", czytamy bowiem: „*Krakowiak made a fresh name for herself*" („Krakowiak zdobył sobie świeże imię" — lepiej: „nową sławę"). Jako zaciekły Krakowiak, dumny byłem i będę zawsze z „Krakowiaka", ale dla mnie jest on i zawsze będzie „tym", nie „tą" okrętem. Podobnie i moja maszyna, mój „*Underwood*", był, jest i do śmierci będzie samcem. Co innego żytniówka lub śliwowica. Chociaż doskonale czujemy ich potęgę, przecież mówimy o nich w rodzaju żeńskim, podkreślając w ten sposób nasz uczuciowy stosunek, podczas gdy wódka, jakakolwiek wódka, wódka, jako taka, po angielsku jest „*it*". Nijaka, żadna, słaba, przedmiot martwy, bez ducha.

Baczność! Język angielski zna jeszcze rodzaj czwarty, mianowicie wspólny, więc n.p. słowo „*teacher*" oznacza zarówno nauczyciela, jak nauczycielkę. Dodając zaimek „*he*" lub „*she*" albo rzeczownik „*man*" (mężczyzna), „*lady*" (pani), „*maid*" (dziewczyna) i t.d., określamy wyraźnie, że w grę wchodzi belfer albo nauczycielka, przyjaciółka (*lady-friend, girl-friend*), służąca (*maid-servant*) i t.d. Nadto, rodzaj żeński tworzy się z męskiego przez dodanie suffiksu, czyli po polsku przyrostka *-ess*: „*lion-lioness*" (lew-lwica), „*traitor-traitress*" (zdrajca-zdrajczyni), „*negro-negress*" (Murzyn-Murzynka). Ale n.p. „*thief*" oznacza zarówno złodzieja jak złodziejkę, dziwnie bowiem brzmiałby zwrot: „*A lady-thief was taken into custody*" (pani złodziejka została wzięta do więzienia).

O niedźwiedzicy, o kozie, o kotce mówi się „*she-bear*" (Wielka Niedźwiedzica inaczej, bo „*the Great Bear*"). „*she-goat*" (koza), „*she-cat*" (kotka). Jeśli, dziwnym zbiegiem losu, zacząłbyś studiować biblię, spotkasz tam zwrot o „*he-goats and she-goats*", czyli o kozłach i kozach, ale wątpię, aby ta książka wpadła ci kiedyś do ręki. Suka zwie się po angielsku „*bitch*", skąd pochodzi wyrażenie „*son of a bitch*". Można także mówić „*she-dog*", jednak lepiej będzie, gdy powiesz „*lady-dog*", czyli „pani pies".

Dla ścisłości dodaję, że psy angielskie nie gryzą, a to, dzięki łagodnemu usposobieniu (po angielsku mówi się, że dany pies ma „*a good nature*", czyli dobrą naturę), albo w związku z faktem, że podobno spory odsetek psów tubylczych posiada sztuczne szczęki a przynajmniej sztuczne mostki. Psy tutejsze albo nie szczekają wcale albo szczekają cicho, z surdynką. Słyszałem, że niektóre psy łańcuchowe w Anglii mają umieszczony nad budą głośnik, który wzmacnia ich szczekanie. Przypuszczam jednak, że nie gryzą i nie szczekają ponieważ dzieje się im tu bardzo dobrze. Nikt ich nie bije, a każdy je lubi. Oczywiście, najbardziej lubi te psy, na których wygrywa.

Zresztą, Adasiu, nie krępuję cię. Mów o psie, a raczej o suczce, jak ci poczucie taktu i własny interes doradzają. Gdy pewnego dnia podczas „*Blitzu*" spłonęło niemal całe „*City*" londyńskie, dzienniki rozpisywały się o jakiejś cudem ocalonej „*lady-dog*", tudzież o pewnej kakadu-papudze.

Na zakończenie rozdziałku niniejszego mała anegdota w formie dialogu między nauczycielem a uczniem.

Teacher: „*Johnny, what do you consider the greatest accomplishment of the ancient Romans?*"

Johnny: „*Speaking Latin*".

(Nauczyciel: „Jasiu, co uważasz za największe osiągnięcie starożytnych Rzymian?" Jaś: „Mówienie po łacinie").

Wydaje mi się, że Anglicy, choć naprawdę nieźle opanowali swój trudny język, przecież mają na swym koncie także wiele innych, nawet większych osiągnięć.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Takie jest prawo angielskie

Korona i obywatel wobec prawa

Jeżeli szofer „The Fighting Poland Trust" wskutek własnej nieostrożności przejedzie cię przechodzącego w odpowiednim miejscu ulicę, możesz skarżyć nie tylko szofera, lecz przede wszystkim spółkę, której konto bankowe bardziej nadaje się do pokrycia odszkodowania, jakie ci sąd niewątpliwie przyzna. Przypuśćmy jednak, że pech cię prześladuje i wpadłeś pod koła wozu poczty królewskiej (*Royal Mail*). Opowiedzialny prawnie byłby tylko ubogi szofer, poczty do sądu pozwać byś nie mógł.

Dlaczego? Bo Anglia jest krajem tradycji. Dawni, średniowieczni prawnicy utrzymywali, że król nie może zrobić nic złego. Jest on źródłem sprawiedliwości. Nie może być pozwany do sądu, albowiem sądy są Jego Królewskiej Mości. Nie można mu doręczyć pozwu, gdyż wystawiane są one w jego imieniu, więc sam nie może nakazać sobie, by się stawił przed własnym sądem.

Ta średniowieczna teoria utrzymała się w sądownictwie angielskim do dnia dzisiejszego. W każdej prawnej dyspucie pomiędzy Koroną a obywatelem — Korona jest w daleko korzystniejszej sytuacji, a często sprawa zostaje rostrzygnięta na korzyść Korony, zanim w ogóle przystąpiono do jej rozważania. Tak więc, doskonałość jaką w teorii prawo przypisuje Koronie — w praktyce znaczy, że nie można dochodzić sądownie naprawy krzywdy przeciw Koronie za szkody wynikłe n.p. z niedbalstwa, naruszenia cudzych praw, bezprawnego pozbawienia wolności, obelgi lub paszkwilu i t.p., a które, w stosunkach między zwykłymi obywatelami, krzywdziciel musi naprawić.

Korona jest prawnie niezdolna popełnić żadnego z tych czynów. A gdyby faktycznie popełniła, nie znalazłby się sędzia w Anglii, który by w ogóle przyjął skargę pokrzywdzonego. Jeżeli więc w chwili gdy przechodziłeś pod oknami któregoś z ministerstw, maszynistka zrzuciła na ciebie wieko od maszyny, rozbijając ci łeb, nie mógłbyś skarżyć o odszkodowanie Korony jako jej służbodawcy. Nie w lepszej sytuacji znalazłbyś się, gdybyś chciał pozwać któregoś z jej przełożonych aż do ministra włącznie, albowiem według prawa żaden z nich nie jest jej pracodawcą, gdyż wszyscy, na równi z nią, są sługami Korony (*Servants of the Crown*).

W wypadku, gdyby Korona zerwała kontrakt zawarty ze swym poddanym — pozycja jego byłaby nieco lepsza, lecz nadal znacznie trudniejsza, niż w sprawie pomiędzy dwoma obywatelami. Nie ma bowiem skargi przeciw Koronie o złamanie kontraktu. Sprawa może przyjść do sądu tylko na skutek t.z. „*Petition of Right*" (prośba o sprawiedliwość).

Jest to bardzo skomplikowana i kosztowna forma procesowa, dostępna jedynie, gdy Korona, przez ministra spraw wewnętrznych (*Home Secretary*), według własnej oceny uzna, że prośbę należy skierować do sądu, zamieszczając na niej swoje zezwolenie „*fiat*" — „niech sprawiedliwość zostanie wymierzona". Wówczas rozprawa odbywa się jak między stronami prywatnymi, a koszta przyznane poddanemu egzekwowane są w zwykły sposób.

Tak więc udało ci się wreszcie postawić Koronę przed kratkami sądowymi. Nie sądź, że masz równe szanse w tym boju. W procesie między dwoma prywatnymi stronami, każda z nich, poza niektórymi dokładnie sprecyzowanymi wyjątkami, może zażądać od drugiej wyjawienia wszystkich dokumentów, odnoszących się do sprawy. Od łaski Korony zależy wyłącznie, czy przedstawi ze swych archiwów dokumenty, które mogą być decydujące na twoją korzyść. Gdyby zaś Korona zaskarżyła cię o zwrot należności, nie możesz w sądzie zasłaniać się wierzytelnością wzajemną, jaką masz do Korony.

Ostatnio jednak nastąpiło pewne unowocześnienie prawa w tej dziedzinie i przywileje Korony w sprawach spornych zostały do pewnego stopnia ograniczone. Napiszemy o tym w przyszłym tygodniu.

Dr. S.

Serca w szkole

Zanim zjawiły się te dziewczęta w swojej ukochanej szkole, zanim weszły do jednej z jej gimnazjalnych czy licealnych klas, trzeba było przejść wiele dni ciężkich, twardych i jak ostry kamień kostropatych. Trzeba było najpierw przechodzić przez rozliczne a przykre niedole, przez chłód i niedospanie, przez krew i najgorszą poniewierkę.

Przede wszystkim jednak było trzeba czekać. Czekać długo, uporczywie i cierpliwie. Czekać nad wszelkie wyrozumienie długo, bo przez całych sześć lat, z których każdy wydłużał się w bezkres nieskończoności. Trzeba było czekać przez całą wojnę, czyli przez cały tamten krwawy i upiorny czas płynącej krwi, zadawanych katuszy i bezmiernego cierpienia. Przez cały tamten ponury czas wojenny, skroś wszystkie jego pożary i poprzez wszystką jego skrwawioną grozę.

Przez to wszystko zatem było trzeba przejść, aby nareszcie, po sześcioletniej przerwie w nauce, móc na nowo dostać się przed bramy polskiej a nade wszystko umiłowanej szkoły.

Droga więc do tej szkoły, do tego jedynego w byłym II Korpusie gimnazjum i liceum dla ochotniczek PSK, była uciążliwa i daleka. Wiodła zaś ta droga rozlicznymi a zawsze utrudzenia pełnymi szlakami. Zaczem podążały jedne z uczennic do tej swojej szkoły zaśnieżonymi bezdrożami sybirskich tajg, dokąd zesłane zostały wrychle jakoś po tamtym nieszczęsnym Wrześniu; więc potem pielgrzymowały dalej w stronę swojego gimnazjum i liceum poprzez skaliste urwiska irackich gór i przez spiekotę egipskich pustyń, a jeszcze później, na italskiej już ziemi, wędrowały ku swojej szkole ukochanej wśród huku armat, wśród ognia pękających bomb i gorejącej bitewnej pożogi, biorąc same w niej chętny a żarliwy współudział jako kantyniarki, jako kierowczynie samochodów, jako łączniczki, jako siostry szpitalne i jeszcze nie wiedzieć co.

Zaczem były inne z uczennic tej szkoły, które pielgrzymowały w jej stronę poprzez głód, poprzez wszy i poprzez straszliwą poniewierkę we wszystkich niemieckich obozach koncentracyjnych, pełnych ohydy i lejącej się z rozbitych czaszek krwi. Zaczem były trzecie, co w stronę swej umiłowanej szkoły podążały mozolnie poprzez twardą i sękatą robotę w niemieckich fabrykach i poprzez zabijającą żmudę w pracy na gliniastym polu germańskiego bauera.

Zaczem zjawiły się w tej szkole takie, co szły do niej z płomieni gorejącej w powstańczych dniach Warszawy. Szły wszystkie, których surowy rozkaz wroga wypędził z przytulności ciepłego domowego ogniska, które wróg podał był na głód i na poniewierkę, które rozkurzył po świecie, odłączając je od matek i ojców, od siostr i braci, od tego w czym żyły, od tego co ukochały i co w młodych ich żywotach największym było ukochaniem.

Wybiedzone były, wymizerowane, blade od niedospania, słaniające się na nogach po katorgach niemieckich kacetów, wyzbyte często nie tylko z sił, ale i z wiary w człowieka, wiary w siebie i w świat, onieśmielone zjawiskami tego świata, jaki z nagła wielkim do nich zawołał krzykiem, pobite pulsującym życiem gwarnych italskich miast i dróg, oszołomione słońcem, morzem i kwiatami, skurczone w sobie i w swojej nieśmiałości sięgnięcia po nowe, pełne, radosne jak ich własna młodość życie, zamknięte w ściśniętym kręgu jakichś tam cudacznych a śmiesznych swoich przywidzeń, sądów i cichych, a przyduszonym głosem wypowiadanych szeptów.

Takie były, gdy po zakończeniu działań wojennych na italskim froncie zapukały do bramy, za którą stała w powodzi słońca szkoła — w Porto San Gorgio nad modrym włoskim morzem. Takie były: onieśmielone nowym życiem, które w nie uderzyło, zmizerowane tułaczkami i poniewierką i do szczętu skurczone w swej bojaźni przed radosną gonitwą przyszłych dni.

A gdy już raz weszły do swojej szkoły, której szukały tak uporczywie i tak długo, oddały jej od razu i na wstępie całe swoje serce. I stała się ta szkoła dla tych zgonionych polskich dziewcząt od samego początku najserdeczniejszym ich umiłowaniem.

Zamieszkało w szkole dobre, szczeropolskie i ofiarne serce tych dziewcząt-uczennic. One zaś same żyły tą szkołą, wszczepiały się w nią całą swoją duszą, wgryzały się w jej istotę jak w słodki, owocowy miąższ całą swoją myślą i wszystkim swoim młodym czuciem, skorym do największych zapałów, trudów i poświęceń.

Istniała więc ta szkoła owych dziewcząt wszędzie, gdziekolwiek by się one znajdowały, a więc: w poczekalni dentysty, na poczcie, w *autostopie*, w czasie posiłku; nie schodziła z pamięci i z serca i stale, bez przerwy trzeba było o niej mówić i opowiadać każdemu, kto chciał czy nie chciał słuchać, najwięcej jednak należało o szkole powiadać i gwarzyć na jej temat pomiędzy sobą, wszędzie, na każdym miejscu i o każdej porze dnia a nawet nocy. Szkoła stała się treścią ich życia, które wypełnione zostało nią bez reszty i do szczętu. Stała się sensem życia najistotniejszym i najbardziej wartościowym, toteż trzeba opowiadać tylko o tej kochanej szkole.

Przede wszystkim trzeba jednak (powiadały owe dziewczyny polskie) przede wszystkim jednak trzeba się uczyć. Gwałtownie, ochoczo i z zapałem uczyć.

Trzeba się uczyć, aby nadrobić braki straconych w obozach i na poniewierce lat; aby nadrobić to, z czego zostały okradzione przez twardy los i aby nadgonić to, w czym wyprzedziły je i ubiegły szczęśliwe ich rówieśnice na całym świecie, które nie były zmuszone trwonić i marnować swej jarej młodości w zawszonych niemieckich obozach koncentracyjnych: w najradośniejszej z wszystkich prac, to znaczy w radości pracy nad sobą.

Trzeba się kształcić — rozumiały to i pojęły w lot. A zrozumiawszy, rzuciły się to tej nauki całą potęgą swego młodzieńczego, osiemnastoletniego entuzjazmu. Zawrzała w szkole praca serdeczna. Furia pracy, szał pracy i jej radosna, rozśpiewana zawierucha. A wszystko to po to, aby znaleźć, i odszukać, co były potraciły na długiej i mozolnej drodze swej tułaczki; po to, aby odnaleźć wiarę w siebie, w swoje własne siły, w dobroć człowieka i wiarę w sens życia, który tam, za kolczastymi drutami obozów, rozpływał się i wsiąkał w ziemię, jak owa krew, co bluzgała z czerwonych ran.

*

Potem, gdy znowu twardy los tak naporęczył, przyjechały te dziewczęta wraz ze swoją szkołą do Anglii. Wymieciona z tamtego białego domu nad niebieskim włoskim morzem, zamieszkała ta uczelnia w jednym z obozów. Było teraz gorzej, o wiele gorzej. Było chłodno i zimno, tak że aby opalić salę baraku lub izbę szkolną, należało wędrować do dalekiego lasu, aby uzbierać tam kilka naręczy opałowego drzewa; w baraku samym zaś, gdzie stłoczono je po 30 a nawet po 40 na przestrzeni parudziesięciu metrów kwadratowych, nie mogła się, siłą rzeczy, przy indywidualnym sposobie odrabiania lekcyj szkolnych, wytworzyć atmosfera sprzyjająca takiemu wielkiemu wysiłkowi, jakim jest nauka; że zaś tamte naręczki drzewa z lasu niewiele pomagały, przeto stale było zimno i chłodno; należało więc wypracowanie domowe pisać z naciągniętymi na skostniałe dłonie rękawiczkami, a z książką, z której trzeba się było uczyć, należało uciekać pod koc, który dawał jaką taką ochronę przed dokuczliwym ziąbem.

Ale to nie byłoby najgorsze; w ciągu owych sześciu lat swej poniewierki nauczyły się znosić i chłód i głód i wszelką inną niewygodę. Gorsze od mrozu i nawału codziennej pracy szkolnej i pozaszkolnej (sprzątanie klas i swoich mieszkań, pomoc w kuchni, służba obozowa etc., etc.) były tamte wszystkie ich własne, wewnętrzne tragedie, uzbierane na dalekości pielgrzymiego ich szlaku; a więc nagłe przypomnienia sobie o męczeńskich skonach matek czy ojców; z nagła otrzymywane wiadomości z kraju o śmierci kogoś z najbliższych; niepewność swojego własnego losu tu, na tej angielskiej ziemi; rozłamywanie się wewnętrzne na dwoje, gdy matka lub ojciec z kraju pisali, by wracać; brak wiadomości o kimkolwiek ze swoich. Setne i tysiączne sprawy, z których każda wwiercała się w duszę i w mózg, świdrowała tam i wierciła, nie dawała spokoju i sprawiała rozterkę duchową, wysysała siły i nakazywała odrywać się od umiłowanej książki szkolnej.

Ale to wszystko złe w niczym nie zdołało wpłynąć na szeroki, bujny i radosny tok ich pracy. Jako tam ongiś, łońskiego roku na italskiej ziemi, tak i teraz tu, w tym angielskim obozie szły i umiały te dzielne polskie dziewczyny iść twardo, nieustępliwie a ciągle raźnym krokiem do przodu, przed siebie. Po staremu, choć ciężko było, wrzała w tej dziwnej szkole praca radosna, szczera a ochocza.

Potrafiła każda z tych niezłomnych dziewcząt polskich schować swoje własne, prywatne cierpienie gdzieś głęboko w sercu, ukryć je na samym jego dnie, a wydobyć z tego serca wszystką mieszczącą się tam radosną ochotę, wszystek istniejący tam zapał i wszystką buzującą tam chęć dalszego kształcenia się i dalszej pracy nad sobą. W chwilach najbardziej dla nich ciężkich i tragicznych potrafiły zacisnąć zęby, potrafiły i umiały zdusić cisnące się do oczu łzy i powiedzieć sobie: nie dam się! Będę trwała do końca!

Z tymi zaciśniętymi zębami, i z tym krzykiem „nie dam się", trwały rzeczywiście do końca roku szkolnego.

Przyszedł ten koniec roku szkolnego przed niedawnem i przyniósł tym dziewczętom radość zwycięstwa. Dwadzieścia sześć spośród nich, a więc wszystkie te, które uczęszczały do drugiej klasy licealnej i złożyły podania o składanie matur, uzyskało w tych dniach w pełni zasłużone (a jakżeż dla nich drogocenne!) świadectwa dojrzałości. Inne, w ilości ponad sześćdziesięciu, uzyskały równie zasłużone promocje do klas następnych gimnazjum czy liceum.

Trud opłacił się rzeczywiście. Zwłaszcza zaś opłacił się tym, co składały końcowy już w tej szkole egzamin i stawały do matur. Pójdą one teraz w świat z głębokim w sobie i grzejącym serce przekonaniem, że spełniły swój obowiązek do ostatka rzetelnie i sumiennie. Pójdą w życie bogatsze w zasoby wiedzy nabytej w ich szkole, którą tak pokochały, jak również bogatsze o jedno wielkie przeżycie, w tej szkole zrodzone i poznane. Pójdą zaś z tym radosnym w sobie doznaniem, iż wszelki uczciwy trud zostanie ukoronowany palmą zwycięstwa, jeśli spełnia go się tak, jak one spełniały go w czasie pobytu w swej szkole, to znaczy: z zaparciem się, z wiarą we własne siły i w przekonaniu, że ideał dobra skazany jest na wielkość i chwałę radosnego powodzenia.

Odeszły te uczennice ze swojej szkoły. Wiemy jednak, że będą do niej powracały w swoich myślach zawsze; była to bowiem ta szkoła, która zawsze im o wyższości ideału dobra nad złem opowiadała i która uczyła te polskie dziewczęta wiary w ostateczne zwycięstwo wszelkiej na świecie sprawiedliwości.

Powrócą te dziewczęta do swej szkoły, muszą powrócić. Przecie pokochały ją bez granic, bez granic. Przecie, jakkolwiek odeszły, zostawiły w tej szkole swoje młode, zapałem i pracą rozśpiewane serca!

ADOLF FIERŁA

SZCZYPTA HYPTA

PANOWIE A, B i C

PAN B.

Ach czemuż, czemuż,
mój Klemensie luby,
tę tekę mi powierzyłeś ?

Ach czemuż, drogi,
na tak ciężkie próby
osobę mą wystawiłeś ?

Ja przecież chciałem
posadę Daltona,
Tyś mi ją nawet obiecał...

Zmieniłeś zdanie :
praca mi zwierzona
tylko niepokój mój wznieca.

Persja i Grecja,
cenne Dardanele,
nie mówiąc o Palestynie...

Nie, mój Klemensie,
Ty naraz za wiele
spodziewasz się po Bevinie.

Traktat z Niemcami
i Dunaju fale
spać mi nie dają po nocy,

W partnerze „Czwórki"
ja niestety wcale
nie mam ni za grosz pomocy !

Ach czemuż, czemuż
mój Klemensie luby
tę tekę mi powierzyłeś ?

Ach czemuż, za co,
na tak ciężkie próby
osobę mą naraziłeś ?

PAN A.

Cierpliwości, Drogi Ernie,
im to też się znudzi pewnie.
Gdy nam grożą, oskarżają,
imperializm zarzucają
— nie daj im się wywieść w pole,
choć cię prawda w oczy kole !

Bądź cierpliwy i spokojny :
oni także nie chcą wojny !

Cierpliwości, mój Bevinie,
— choć cię za jej brak — nie winię !

PAN C.

Coś obiecać, ale nie dać,
jednych kupić — drugich sprzedać !

Wejść w sojusze, jeśli warto ;
mamić — Atlantycką Kartą.

Tu coś zdobyć, tam się wyrzec,
gdy już trzeba — to i przyrzec,

Przyrzekając, dobrze baczyć,
by choć sens móc przeinaczyć...

Znosić trudy, nie narzekać.
Bronić wolnych praw człowieka.

Dbać, by jego interesy
— nam przyniosły coś do kiesy...

J. HYPT

SPIS RZECZY

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i obywatele ! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo ! Przyjaciele i wrogowie ludu ! Faszyści i czerwonoskórcy !

Różne u nas przed wojną w Polsce „faszystowskiej" bywały zbiórki. Mieliśmy kiedyś tego po same uszy : FON, LOP, COP i tp. Dziś — mili demokraci — wspominamy czasem te nasze narzekania z sentymentem.

Ale ... uderzmy się w piersi. Lipa to były, proszę demokratów, owe wysiłki społeczeństwa w okresie sanacji wobec niesamowitych pomysłów zbiórkowych w przeżywanej przez nasz kraj „PP-erze" sowiet-demokracji.

Zbiórki sypią się tam teraz jedna za drugą. Ostatnia jednak pobiła wszelkie rekordy pomysłowości : od wszystkich obywateli miasta stołecznego Warszawy zażądano dobrowolnych datków na rzecz Zarządu Miejskiego w postaci...trucizny.

Tak jest, obywatele — trucizny. Bo owóż wobec braku kredytów miejskich i funduszów „państwowych", które pozwalają sobie na różne inne akcje trucicielskie — każdy jeden obywatel Warszawy musi zakupić i osobiście wręczyć Zarządowi dawkę trucizny, która zdolna jest zabić... 3 szczury. Słownie : trzy.

Zaszczurzenie stolicy — jak pisze jedna z tamtejszych komunistycznych płacht — przybrało zastraszające rozmiary. Szczury lęgną się wszędzie, niszcząc miasto.

My dodajmy : nie tylko miasto ; cały kraj. Szczury zjadają wszystko od dołu do góry. Szczury wywożą z Polski wszystko, co wpadnie pod łapy. Szczury przegryzły budowę państwa i wgryzają się w duszę narodu.

Nie łatwo nam śmiać się z tych rzeczy, ale możemy sobie wyobrazić taki ogonek obywatelski pod Zarządem Miejskim w Warszawie. Każdy dobry Polak stoi tam z bijącym sercem, trzymając kurczowo dawkę trucizny w ręku, przeznaczoną dla trzech ... szczurów.

My stajemy razem z nimi w tej kolejce wołając : „Trucizna na truciznę". Już dość bowiem wsączono jadu w polskie szeregi, a ostatnio pomiędzy Kraj a emigrację.

Akcja Zarządu Miasta Warszawy pomyślana jest dość skromnie. Czekamy na dalsze pożyteczne inicjatywy w tej sprawie.

Ach, gdyby takowych „świadczeń w naturze" zażądał Urząd Bezpieczeństwa, ogonki ciągnęłyby się przez całą Polskę. A może by tak pozwolono na indywidualne „dary" dla Bieruta, Gomółki, Bermana lub Radkiewicza. W społeczeństwie apel o składanie trucizny znalazłby „szczery oddźwięk".

Mamy już nawet gotowe zawołania propagandowe dla akcji : „Trutki na Bierutki", „Ampułki dla Gomółki !", „Arszeniki na bolszewiki !" *albo* „Cjankali dla Moskali !".

Toż by ludziska znosili ! Nie na 3 szczury, ale na dziesięć by starczyło z datku pojedynczego obywatela ! Można powiedzieć, że od ust by sobie ludziska odjęli, a przynieśliby trucizny, proszę miłych demokratów. Bo już naród taki jest : hojny i czuły w takich okazjach.

W związku z istną manią zbierania trutek, którą na terenie stolicy upowszechnili działacze P.P.R. ma podobno nastąpić zmiana nazwiska Cyrankiewicz *na* Cjankalewicz, *żeby bardziej spopularyzować nienawiść do szczurów kanałowych, a równocześnie wzbudzić większą miłość do premiera. W planach akcji odszczurzania stolicy bierze się również pod uwagę pomysł sprowadzenia z Rzymu ...* Kota, *żeby wypłoszył szczury.*

Chciałbym i do was zwrócić się z apelem, obywatelki i obywatele, o wzięcie udziału w tej wielkiej manifestacji trutkowej i poparcie akcji na terenie Londynu. Kto może, niech znosi do Hyde Parku i składa na mojej paczce od mydła wszelkie rzeczy trujące, gdyż nie wiadomo, kiedy nam się co przyda.

Zaznaczam, że jako dary trujące nie będą przyjmowane ofiary tego typu jak : trująca atmosfera niektórych kół emigracyjnych, zatrute powietrze niektórych organizacji społecznych, drobiazgi zatruwające życie i pracę, oraz zatrute jabłko niezgody rzucone pomiędzy grupy, grupki, podgrupy, podgrupki, przedgrupki i zagrupki londyńskie.

Znoście obywatele cierpliwie każdą szczyptę materii, działającej radykalnie na odszczurzenie całej Polski, w której lęgną się, gryzą i do dusz się zakradają czerwone szczury z kanałów sowieckich.

Na zakończenie, wznieście razem ze mną potrójny tradycyjny okrzyk :

„Śmierć czerwonym szczurom !"

„Cjankali do cjankali, a jakoś się ich rozwali !"

„Niech żyje twórcza inicjatywa trucicielska Zarządu stołecznego Miasta Warszawy !"

Do usłyszenia za tydzień, w tym samym miejscu, na tej samej paczce, o tej samej porze.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

SKRZYNKA POCZTOWA

LIST Z U.S.A.

Szanowna Redakcjo „Polski Walczącej",

przesyłam prenumeratę za rok 47, przepraszem najmocniej za opóźnienie. Małe pisemko panowie wydajecie, ale ono w sobie mieści więcej, niż te pisma o największych rozmiarach.

Pozostaję z najgłębszym szacunkiem i poważaniem

FRANCISZEK WIŚNIEWSKI
13408 *Bloom Street,*
Detroit 12, *Mich., U.S.A.*

WYSTAWA PRAC MALARSKICH

Od dn. 2 do 28 czerwca b.r. otwarta będzie w galerii Jabe (Jasons Court, 76, Wigmore Street, W.1) wystawa prac malarskich i rysunków F/Lt. STEFANA KNAPPA. Tematem wystawy są przeżycia F/Lt. Knappa w obozach koncentracyjnych Rosji. Wystawa otwarta w dni powszednie w godz. 11–6, w soboty w godz. 11–1.

ANGLIA NA CODZIEŃ

DOŃCIU SIĘ PRZEDSTAWIA

Trudno się dziwić, że w tydzień po swej wycieczce do Londynu i wizycie w nocnym klubie Dońciu otrzymał list z banku, w którym miał swe konto, a w liście uprzejme zawiadomienie o deficycie powstałym wskutek nieopatrznego wystawienia ostatniego czeku.

List zaczynał się od „*We beg to inform you*", co Dońciu zrozumiał jako : „Błagamy cię o informacje", a po stwierdzeniu deficytu w sumie pięciu funtów kończył się uprzejmym „*Your obedient servant*".

Dońciu niezwłocznie wypisał czek na pięć funtów i przesłał go do banku, aby w ten sposób pokryć niedobór. Do czeku dołączył list, rozpoczynający się od słów „*My dear obedient servant*", z zapewnieniem, iż gdyby w przyszłości powstał jeszcze kiedykolwiek na jego koncie deficyt — on gotów jest natychmiast przysłać czek nawet na większą sumę niż niedobór, byleby tylko oszczędzić kłopotów urzędnikom banku.

Łatwo się domyśleć, że dopiero po tym liście urzędnicy banku byli ogromnie zakłopotani.

Bank miał kłopoty z Dońciem od samego początku. Zaraz po otwarciu konta Dońciu musiał posłać wzór swego podpisu, w którym zwyczajem wojskowym — imię następowało po nazwisku : *Trzeszczybrzęcki Apolinary.* Rezultat był taki, że dalsza korespondencja z banku była adresowana : *Mr. T. Apolinary,* co zresztą Dońciu łatwo sobie wytłumaczył :

— „Szelma dziewucha — wyobrażał sobie młodą i ładną urzędniczkę banku — ma przeczucie, żem przystojniak i od razu do mnie po imieniu — najwyraźniej chce mnie namotać. A mówili, że Anglicy tacy zimnokrwiści ! — Anglicy może, ale nie Angielki, o nie ! baby wszędzie takie same. Muszę do niej pojechać".

Ale przy pierwszej wizycie w banku — korespondentem Dońcia okazał się stary, zgarbiony staruszek w okularach, który pouczył Dońcia, że w tym kraju imię zawsze stawia się przed nazwiskiem.

Z nazwiskiem Dońciu też miał kłopoty. Ilekroć przedstawiał się : Trzeszczybrzęcki, tylekroć następowało brzemienne ciekawością pytanie :

— „*And how do you spell your name, Mr. Sh-sh-ch-ki ?*"

— „*Easy* — odpowiadał Dońciu — *ti-ar-zed-i-es-zed-si-zed-łaj-bi-ar-zed-i-si-kej-aj !*"

— „*O, I see* — mówiła z ulgą nowopoznana osoba — *Z-z-breski...*"

Kiedyś jednak to niestrawne dla Anglików nazwisko wybawiło Dońcia z opresji.

Jechał swym samochodem do przyjaciół, których dom stał zaraz za skrzyżowaniem ulic. Na skrzyżowaniu były regulujące ruch światła, które — jak twierdził Dońciu — wynaleziono, aby utrudnić życie kierowcom. I tym razem witało Dońcia od strony, którą nadjeżdżał, światło czerwone. Widząc jednak puste ulice, a nie widząc policjanta, który stał dyskretnie za rogiem, nie czekał Dońciu na formalność zapalenia się zielonego światła, lecz z dużą szybkością przejechał skrzyżowanie, zatrzymując się z fasonem t.zn. piszcząc gwałtownie hamowanymi kołami przed domem przyjaciół.

Tymczasem policjant powoli podszedł do samochodu, wyjął z kieszeni duży notes i ołówek i wysiadającego właśnie z samochodu Dońcia łagodnie zapytał :

— „*What is your name, sir ?*"

— „Apolinary Szczepan Trzeszczybrzęcki" — przedstawił się dumnie Dońciu.

Policjant stał przez chwilę nieruchomo, po czym zamknął notes i schował go do kieszeni równie systematycznie, jak go przedtem wyjmował, i powiedział :

— „*All right, don't do it again !*"

I wolnym krokiem powrócił na swoje stanowisko.

RAD

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wojciech Wasiutyński : Ruiny i fundamenty. Biblioteka Książki Polskiej. Str. 141.

J. A. Teslar : A New Polish Grammar. Oliver & Boyd. Str. 469, cena 15s.

Lieut. Gen. M. Kukiel : Six Years of Struggle for Independence. Montygomeryshire Printing Company. Str. 41, cena 2s.

Faked Elections in Poland — as reported by foreign observers. The Polish Freedom Movement „Independence and Democracy". Str. 61, cena 2/6.

Za Wolność i Niepodległość — czasopismo poświęcone sprawie polskiej, Rok I, Nr. 1. Str. 24, cena 1/6.

Sprawy Międzynarodowe — kwartalnik. Rok I, nr. 1. Polski Inst. Badania Spraw Międzynarodowych w Londynie. Str. 56, cena 3/6.

Przegląd Polski — miesięcznik. Rok 2, nr. 5. Contemporary Life and Culture Ltd. Str. 80, cena 4s.

*

Wydawnictwa „Światpolu" 28, Beaufort Gardens, London, S.W.3 :

Józef Łobodowski : „Modlitwa na wojnę I". Londyn, 1947. Str. 107.

S. Z. Tomczak : „Sowieckie eksperymenty gospodarcze na ziemiach polskich". Londyn, 1946. Str. 97.

George Orwell : „Folwark zwierzęcy", z angielskiego tłumaczyła Teresa Jeleńska, ilustracje Wojciecha Jastrzębowskiego. Londyn, 1947. Str. 95.

Maria Konopnicka : „Wybór nowel". Opracowała Maria Danilewiczowa. Londyn, 1947. Str. 144.

Teofil Lenartowicz : „Wiersze wybrane". Londyn, 1947. Str. 101.

Juliusz Słowacki : „Wybór pism — wiersze różne". Opracował Mieczysław Giergielewicz. Londyn, 1947. Str. 144.

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST
Adres Redakcji (Editorial Offices) : 52, Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń : 1 cal przez jeden łam — £1 10s., ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne : jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1 sh. za słowo, trzykrotne 1 sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy : jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1 sh. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.
Adres Administracji (Business Offices): 69, Earls Court Square, London, S.W.5. Tel. : FLAxman 8600

Printed for „Polska Walcząca" by Williams ,Lea & Co., Ltd. Clifton House Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper